WTOREK Nr 50 22 VI 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

MOJE SPOTKANIA Z HARCERSTWEM

Zapowiadając cykl „Spotkań z historią", jaki ma się ukazywać w czwartkowych numerach „Świata Młodych" tego lata, przyznałem, że nie jestem historykiem i że nie mam zamiaru przedstawiać pełnej historii Związku Harcerstwa Polskiego. Jestem natomiast dziennikarzem a także instruktorem harcerskim i mam nadzieję, że to upoważnia mnie do historycznych poszukiwań związanych z moją organizacją.

Większa część historii harcerstwa jest historią dla Was i dla mnie. Mogę ją poznawać tylko z książek i dokumentów, z relacji tych, którzy przed laty tworzyli pierwsze skautowe i harcerskie drużyny, którzy znajdowali miejsce dla harcerstwa w niepodległej po I wojnie światowej Polsce, którzy razem z innymi tej niepodległości bronili w II wojnie światowej, którzy tak jak cały kraj odbudowywali po wyzwoleniu Polski również polskie harcerstwo.

Moja własna historia harcerska zaczyna się w ostatnim okresie istnienia Organizacji Harcerskiej Związku Młodzieży Polskiej, kiedy to jako uczeń szkoły podstawowej należałem do drużyny bodajże imienia Janka Krasickiego, działającej w łódzkiej „trójce", która jako szkoła TPD miała wtedy klasy od pierwszej do jedenastej. Tam, w auli dzisiejszego II Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi, złożyłem swe pierwsze Przyrzeczenie.

Drugie, już po reaktywowaniu działalności ZHP, składałem zimą w poznańskim parku sołackim, przed komendantem nie istniejącego już dziś XII Hufca „Wilków Morskich". Byłem wtedy zastępowym zastępu „Albatrosów" 142 Wodnej Drużyny Harcerzy im. Floriana Hłasko, admirała, jednego ze współorganizatorów polskiej marynarki okresu międzywojennego, którego dziś nie wymienia nawet „Mały leksykon morski". Ten numer i bohatera „dziedziczyliśmy" po naszych poprzednikach. W drużynie tej dosłużyłem się stopnia ćwika.

Później byłem drużynowym, a w końcu i szczepowym pierwszego szczepu, jako powstał w poznańskim Hufcu ZHP „Stare Miasto" im. Powstańców Wielkopolskich. Swą instruktorską służbę kontynuowałem w komendzie Chorągwi Wielkopolskiej noszącej to samo imię co i mój hufiec, a wreszcie i w głównej Kwaterze ZHP w Warszawie. Już w stolicy na jakiś czas związałem się ze szczepem 60 i 148 WDHiZ im. Tadeusza Zawadzkiego „Zośki" oraz ze Szczepem 277 WDHiZ, zdobywającym imię Tadeusza Bytnara „Rudego" – oba w Hufcu Warszawa-Mokotów im. Szarych Szeregów. W tym czasie dosłużyłem się stopnia harcmistrza Polski Ludowej.

Jak widać okazji do spotkań z dniem dzisiejszym i historią harcerstwa nigdy mi nie brakowało. Prowadziłem wiele obozów, uczestniczyłem w wielu akcjach. Poznałem Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach i Operację „Bieszczady-40". Znam wiele harcerskich zespołów artystycznych, drużyn, szczepów, mam wielu przyjaciół instruktorów. Wielu harcerskim wydarzeniom towarzyszyłem swoimi piosenkami.

Teraz próbuję efekty moich własnych przeżyć i poszukiwań wykorzystać w naszych spotkaniach z historią harcerstwa. Myślę, że do próby tych spotkań mam prawo.

A więc już w najbliższym numerze czwartkowym z dnia 24 czerwca pierwszy odcinek naszych „Spotkań z historią". Kolejne będą ukazywać się w następnych numerach czwartkowych „Świata Młodych" przez całe lato.

Zapraszając na pierwsze „Spotkanie z historią", już dziś proszę o listy z uwagami i pytaniami. Tylko one uczynią z tych spotkań naprawdę nasze spotkania.

JAROSŁAW LISIECKI

RUCH TO ŻYCIE

Już w następnym numerze „ŚM" zamieścimy Indeks Sprawności fizycznej. Dzięki niemu będziecie mogli sprawdzić swoją szybkość, wytrzymałość, skoczność i siłę. Indeks przeznaczony jest dla każdego, niezależnie od płci i wieku. Wszystkie próby w nim proponowane są łatwe do wykonania, nie wymagają też specjalnego sprzętu. Ważne jest również i to, że dzięki systematycznym ćwiczeniom, możemy poprawić swoją sprawność, natychmiast skontrolować czynione postępy i odnotowywać je w specjalnej tabeli.

Przed nami wakacje i sporo wolnego czasu. Sądzimy, że zechcecie skorzystać z zamieszczonych w Indeksie rad i osiągać coraz lepsze rezultaty.

Szczegóły już za dwa dni!

(zp)

DRUŻYNA, NA KOŃ!

92 WDH „Hobo" powstała niedawno i od razu nawiązała współpracę z „Wyścigami Konnymi" na warszawskim Służewcu. Opiekę trenerską nad drużyną roztoczyła pani Dorota Kałuba. Jest ona ze swoich podopiecznych bardzo zadowolona, choć nie ukrywa, że na początku miała z nimi prawdziwe urwanie głowy. Wszystkiego trzeba było ich uczyć od początku, bo o koniach harcerze mieli bardzo mętne pojęcie, a tranzlowanie (nkładanie wędzidła i wodzy) i siodłanie stanowiło dla nich absolutnie czarną magię. Teraz, po dwóch miesiącach, spisują się już całkiem dobrze.

CIĄG DALSZY NA STR.3

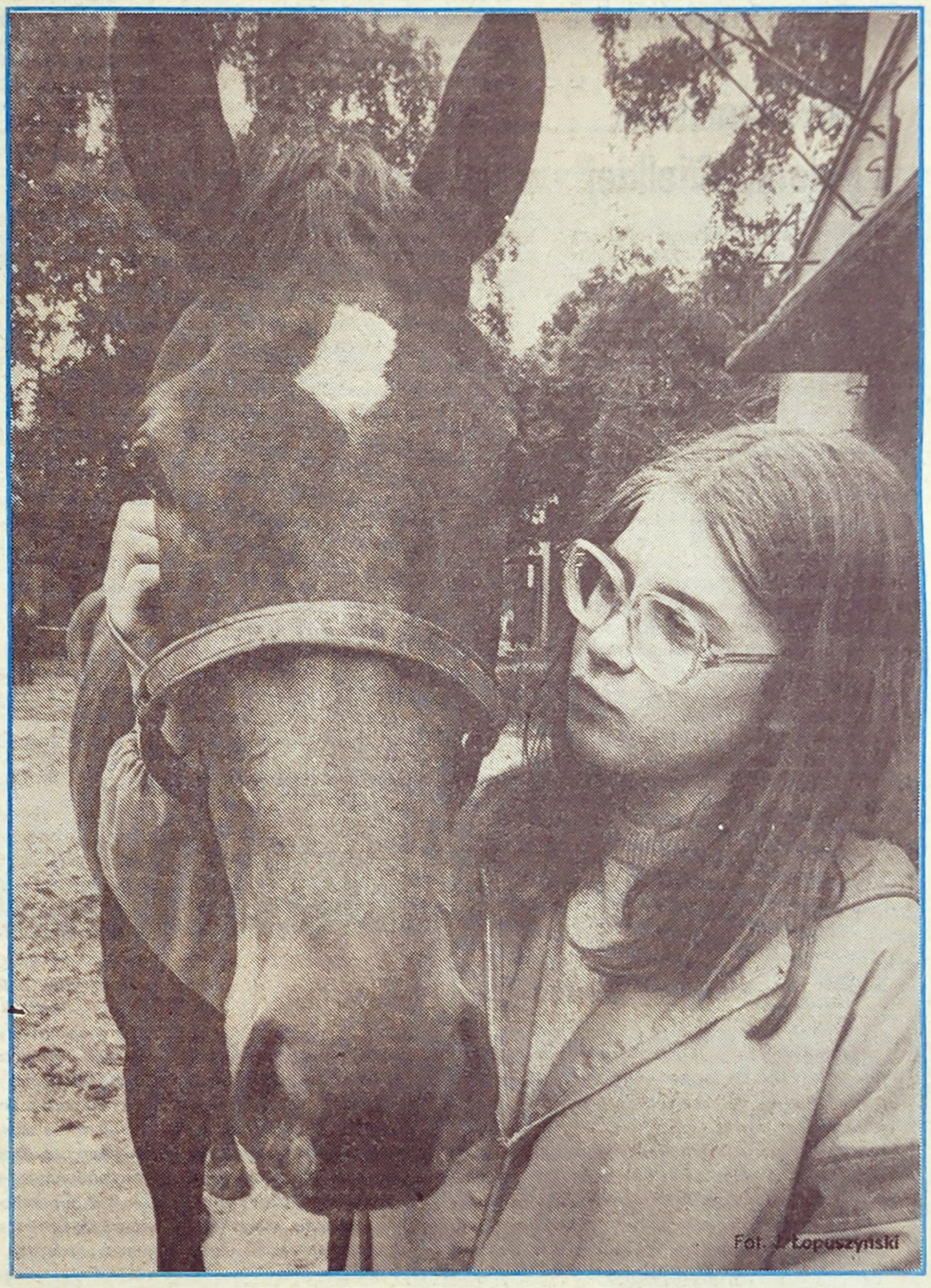

Fot. J. Łopuszyński

REPORTER Świata Młodych

WITAMY WAS!

Co pewien czas dostaję listy z zapytaniem, jakie warunki należy spełnić, by zostać członkiem Ligi Reporterów „Świata Młodych" i mieć prawo do noszenia specjalnego znaczka. Odpowiadam: Konieczny jest udział w dyskusji na proponowane przeze mnie tematy. Druk trzech korespondencji w gazecie uprawnia do tytułu członka Ligi Reporterów i noszenia znaczka, który nowoprzyjęci otrzymują za pośrednictwem poczty. Nazwiska nowoprzyjętych członków LR zamieszczane są zawsze na pierwszej stronie „Świata Młodych".

Aktualnie trwająca dyskusja poświęcona jest pracy, jej hasłem wywoławczym było stare polskie przysłowie pt. „Bez pracy nie ma kołaczy".

Wkrótce podam następny temat. Mam nadzieję, że zainteresuje on także i tych, którzy „Świat Młodych" czytają od niedawna i nie znają jeszcze zasad działania LR.

Szef Ligi Reporterów

REPORTER Świata Młodych

Bez pracy nie ma kołaczy

Cześć!

Dzięki wielu wypowiedziom, jakie nadeszły do Ligi Reporterów poznaliśmy ludzi różnych zawodów, dla których praca jest podstawową sprawą. Liczne głosy w dyskusji poświęcone też były krytyce postaw, w których dominuje chęć wyciągnięcia osobistych korzyści, bez względu na krzywdę innych, oraz nieprawidłowościom występującym w naszej gospodarce.

Dziś drukujemy ostatnie listy, których hasłem wywoławczym było dobrze wszystkim znane przysłowie.

Szef
Ligi Reporterów

Pan Franciszek z Polanki Wielkiej

Dużo jest w naszej ojczyźnie ludzi, którzy swoją rzetelną pracą, swoją wytrwałością i wysiłkiem dają przykład innym jak należy na co dzień pracować, aby żyło się wszystkim lepiej w Polsce. Chciałbym czytelnikom „Świata Młodych" przedstawić i opisać rolnika – człowieka dobrej roboty.

Pan Franciszek Bernaś mieszka wraz ze swoją rodziną koło Oświęcimia, we wsi Polanka Wielka. Urodził się w 1925 r. należy więc do pokolenia ludzi, których lata wczesnej młodości zostały zakłócone przez wojnę. Okupację przeżył na Śląsku w Urbanowicach, dokąd został wywieziony na przymusowe roboty. Zaraz po wojnie został powołany do zasadniczej służby wojskowej, w czasie której przemierzył lasy w okolicach Krosna–Jasła w poszukiwaniu faszystowskich band UPA. Po odbyciu służby wojskowej postanowił zostać na stałe na wsi i przejąć gospodarstwo od ojca (powierzchni około 6 ha). Musiał spłacić pięcioro rodzeństwa z prawa do ich części ziemi. Udało mu się to osiągnąć i wykupił całą upragnioną ziemię za przeszło 125 tys. zł, co było jak na lata pięćdziesiąte poważną sumą. Ożeniwszy się w tym czasie stanął wraz ze swoją małżonką przed bardzo trudnym zadaniem. Kraj, który był zniszczony i umęczony przez lata wojny potrzebował ludzi energicznych i pracowitych, którzy by mogli w jak najszybszym czasie odbudować go i wyżywić. Trudny to był czas. Maszyn, które by mogły choć trochę ulżyć w ciężkiej pracy pan Bernaś prawie żadnych nie posiadał. Mijał jednak czas, pan Bernaś wraz z żoną zaczęli się dorabiać i na przełomie lat 1955–56 wybudowali budynek gospodarczy, powiększyli inwentarz i zaczęli kompletować maszyny. Wraz z rozwojem gospodarstwa zaczęło się uśmiechać szczęście do niego, wygrał w 1976 r. na książeczkę SOP premiowaną ciągnikami ciągnik „Ursus C-330", do którego zaczął kompletować osprzęt. Zakupił wtedy pług i brony i przerobił wóz konny na ciągnikowy. Zaczął wspólnymi siłami wraz z całą rodziną (pięcioro dzieci) budować według własnego projektu kultywator ciągnikowy, wykorzystując części z konnego, a pozostałe wykonał sam ze złomu oraz kabinę ciągnikową – całą ze złomu.

Pan Bernas w swojej wsi jest gospodarzem lubianym i szanowanym przez innych, pracuje bowiem nie tylko na swoim podwórku, ale także dla całej wsi, jest on m. in. czynnym członkiem komitetu budowy wodociągu we wsi Polanka Wielka. W 1980 r. za swoją dobrą pracę jako najlepszy rolnik we wsi został wybrany gospodarzem dożynek.

W 1981 r. zakupił jako złom użytkowy przyczepę, którą po ciężkiej pracy w gospodarstwie w wolnych chwilach remontował. Zakupił ją na wiosnę i już na żniwa była gotowa. Stare, zużyte części zastąpił nowymi; co było można jeszcze naprawić – naprawił własnym przemysłem, by w końcu, gdy zakończył swoją pracę, dowiedzieć się, że nie może być ona zarejestrowana, ponieważ była przeznaczona do kasacji!... Nikogo nie interesuje fakt, że maszyna jest obecnie w bardzo dobrym stanie, a jej wygląd zewnętrzny i stan techniczny w niczym nie ustępują nowym przyczepom.

Tak w dużym skrócie wygląda całokształt działalności pana Bernasia, choć na pewno nie ukazałem uczuć towarzyszących mu przy jego pracy, jak np. radość czy zwątpienie, czyli tego wszystkiego co jest w nim „w środku". Sądzę jednak, że choć trochę ukazałem człowieka, jednego z wielu milionów ludzi, dla których praca i ukochany kraj to jedno.

Na koniec można by było napisać jeszcze o planach. W przyszłości po ojcu gospodarstwo chce przejąć najmłodszy syn Tadeusz, który zamierza powiększyć jego areał oraz park maszynowy, zabudowania gospodarcze i specjalizować się w hodowli bydła.

Mirosław Mieszała
Członek Ligi Reporterów

Pierwsza „przymiarka"

Maj upłynął mnie i moim kolegom oraz koleżankom z klasy pod znakiem praktyk w zakładach pracy. Dotychczasowe praktyki – dwa razy w ciągu tygodnia na terenie warsztatów szkolnych – zastąpione zostały czterotygodniowymi. W ciągu tygodnia pracy wyciągnąłem wiele wniosków, którymi chciałbym się podzielić. (Zapomniałem jeszcze dodać, że zakłady w których odbywamy praktykę to drukarnia). Już nawet pierwszy dzień pracy w zakładzie wystarczył, abym przekonał się naocznie, że nasza poligrafia pozostała daleko w tyle w stosunku do innych krajów rozwiniętych świata. Nie ma się czemu dziwić, że nie posiadamy nowoczesnych maszyn – brak pieniędzy. Lecz skandaliczne jest to, że zecer, czy jak to brzmi bardziej po polsku – składacz ręczny, nie ma tak prostych narzędzi jak pinceta (podobna do filatelistycznej), czy sztylet (stalowa igła w prostej, drewnianej oprawie). Brak tych narzędzi równa się w tym zawodzie brakowi ręki czy palców, a praca staje się naprawdę niemożliwa. Brak jest wielu innych rzeczy. Zaś stołówka jest pomieszczeniem – podejrzewam – pełniącym rolę magazynu, gdzie pomiędzy stolikami leżą stosy książek i innej makulatury.

Mimo tych wszystkich braków praca przebiega normalnie, a postawa nieomal wszystkich wobec pracy jest więcej niż pozytywna. Niestety i tutaj zdarzają się „czarne owce", ale stosunkowo łatwo ukrócić ich postępowanie, gdyż istnieje coś takiego jak norma. Na czym ona polega? Każdy druk czy to tabela, akcydens (zaproszenie, druk okolicznościowy itp.), mają określony czas składania obliczany wg. skali trudności. Jeżeli pracownik nie przyłoży się i przekroczy określony czas, to tylko on odczuje to po grubości własnego portfela. Z tego wniosek dla każdego, że lepiej dobrze pracować, gdy to wkrótce zaowocuje w postaci finansowej.

Dobrze jest rozwiązany problem pracującej soboty. Pracownicy poligrafii pracują siedem godzin dziennie ze względu na szkodliwość zawodu (ołowica). W tym zakładzie pracują dodatkowo 15 minut dziennie i w ten sposób wszystkie soboty mają wolne.

Zaszokował mnie jeden fakt – cotygodniowe raporty z pracy w postaci odbitek przekazywane kierownikowi działu, który m.in. w ten sposób orientuje się w całości pracy danego pracownika. Raporty te, odpowiednio spreparowane przez tych, którzy robią uniki, aby w sposób jak najmniej męczący zarobić jak najwięcej, zajmują im wiele czasu w przerwach pomiędzy kolejną szklanką herbaty. Nie rozumiem, jak w chwili ogólnej odnowy i reformy gospodarczej można trzymać tego typu ludzi w zakładzie? Są to na szczęście wyjątki. Większość ludzi pracuje sumiennie, otrzymując za swą pracę godziwe wynagrodzenie. Warto wiedzieć, że zecerstwo jest zawodem stojąco-biegającym. Przez ten pierwszy dzień zatęskniłem do szkolnej ławki, gdzie aż nudzi ciągłe siedzenie.

Drugi dzień był znacznie łatwiejszy. Wpłynął na to efekt dobrej atmosfery pracy. Istnieje tu np. zwyczaj, że ten, kto się spóźni, wita każdego po kolei, nie omijając i praktykantów. Byliśmy zaskoczeni, gdy witało nas pogodne „cześć". Nie zwalono na nas także nudniejszych, bardziej pracochłonnych i brudniejszych prac. Starano się nie tylko eksploatować, ale również nauczyć. Nie było tak jak w jednej z drukarń, gdzie pracownik odpoczywał, a przydzielona praktykantka za niego i siebie pracowała. My ze swej strony dajemy wszystko, aby jak najlepiej wypaść, nawet ci, którzy do tej chwili nie przejmowali się i nie przejawiali zbytniej aktywności. Wiedzą oni, że tylko dobrzy znajdą w poligrafii zatrudnienie, a przysłowie „Bez pracy nie ma kołaczy" staje się życiową koniecznością.

Robert Łoś
Członek Ligi Reporterów
Łódź

Spotkania

TWÓRZMY!

Gabriel nie skończył jeszcze technikum, gdy na serio zainteresował się muzyką poważną. Chciałby się poświęcić jej zawodowo, ale wie, że na to jest już jednak za późno. Nie da się nadrobić konsekwencji dawnej rodzicielskiej decyzji. Ale do słuchania, a nawet i do grania nie trzeba być zawodowcem. Chodzi więc na koncerty. Teraz w każdą niedzielę można go spotkać w warszawskich Łazienkach, dokąd zwabia go muzyka Chopina. Zbiera nuty. Próbuje grać. Gitara, fortepian. Spod strun i z klawiszy wydobywa znane melodie. Bach, Beethoven. Właśnie szlifuje takt po takcie jego popularne – „Dla Elizy", korzystając z wolnego wieczorami fortepianu u znajomych. Te godziny sam na sam z instrumentem są dla niego najcenniejsze. Jeszcze nie tworzy własnej muzyki, ale przy pomocy muzyki tworzy siebie. A na tym polega prawdziwa twórczość. Gabriel szuka do niej własnej drogi, nie oglądając się na szkoły, konkursy, przeglądy, pomoc fachowców. Miarą jego sukcesów jest własne zadowolenie i satysfakcja, twórcze bogacenie się bez zewnętrznych, dostrzeganych przez wszystkich atrybutów.

Można tak, można i inaczej.

Krzysztof z Biłgoraja też interesuje się muzyką i gra na gitarze. Gra dobrze, co potwierdził tegoroczny Przegląd Gitary Klasycznej. Maryla z Katowic jest uczennicą liceum plastycznego, ale próbuje swych sił także w poezji. Nie sama. W klubie literackim katowickiego Pałacu Młodzieży. Jarek z Tarnobrzega w przyszłości będzie górnikiem, ale interesuje go muzyka, sam komponuje. Brał już udział w harcerskich festiwalach w Siedlcach i Kielcach, nagrywał dla radia. Ewa z Ostrowa Wielkopolskiego uczy się w liceum i lubi recytować. Jej udział w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim zakończył się sukcesem. Szczepan z Lublina jest uczniem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, a jego satyryczne rysunki trafiły już do prasy regionalnej i harcerskiej.

Cała ta piątka szuka możliwości wypowiedzenia się w sztuce. Język sztuki jest dla nich i dla wielu im podobnych językiem porozumienia z innymi, ze światem, niezależnie od tego, czy będzie to w przyszłości związane z ich zawodem. Z przytoczonych przykładów widać, że dla większości twórczy udział w sztuce jest uzupełnieniem – dziś zdobywania zawodowych kwalifikacji, w przyszłości uprawiania wybranego zawodu. Gwarantuje to, że życie ich staje się i będzie po prostu bogatsze, bardziej twórcze. I to nie tylko w sztuce, bo człowiek nie jest taki jedynie wtedy, gdy bierze do ręki gitarę czy pędzel. Jest twórczy zawsze.

Tradycyjny, a wspomniany już dziś przeze mnie festiwal kielecki, pełniej – Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej, jest coroczną okazją spotkania nie tylko wielu artystycznych zespołów, ale i wielu młodych twórczych ludzi, którzy w sztuce wybrali indywidualną formę wypowiedzi. Na tegorocznym festiwalowym Obozie Młodych Twórców w Kielcach spotkają się również Krzysztof, Maryla, Jarek, Ewa i Szczepan. Oni i im podobni.

Brałem już wiele razy udział w kieleckiej imprezie i zawsze wywoziłem z niej mnóstwo miłych wspomnień: tyle mniejszych i większych koncertów we wspaniałym kamiennym amfiteatrze i w kameralnych salkach, tyle muzyki i poezji, tyle kolorów bogatego polskiego folkloru, tyle mądrości słowa i myśli w programach kabaretowych i teatralnych, tyle nowych znajomości i przyjaźni rodzących się przy gitarze i świecach, na oblanej słońcem trasie rajdu, w długich wieczornych rozmowach. Przy wspólnych zainteresowaniach nietrudno o wspólny język, nietrudno o wspólne myślenie i przeżywanie.

To co napisałem wygląda trochę na reklamę kieleckiego festiwalu. W istocie jest czymś więcej: zaproszeniem do Kielc.

Kto nie ma jeszcze zajętej drugiej połowy lipca, kto czuje się już młodym twórcą, bo pisze, maluje, komponuje, śpiewa, gra, fotografuje, tańczy, słowem szuka artystycznej formy wypowiedzenia siebie samego, kto skończył już piętnaście lat i chce w Kielcach spotkać sobie podobnych i razem z nimi uczestniczyć w zajęciach warsztatowych z różnych dziedzin sztuki, w spotkaniach z jej profesjonalnymi przedstawicielami, w koncertach i dyskusjach – niech chwyta za pióro i pisze wprost do mnie na adres „Świata Młodych". Niech opisze swoje zainteresowania i osiągnięcia, to co sam może wnieść do naszego obozu – bo ja też będę w nim uczestniczyć – to czego spodziewa się tam dla siebie. List z załączonym potwierdzeniem lub poparciem szkoły czy komendy hufca należy wysłać natychmiast. Czasu jest mało, a liczba wolnych miejsc ograniczona. Słowem trzeba się spieszyć.

Cóż, do Kielc nie pojadą wszyscy. Ale przed wszystkimi są już coraz bliższe wakacje i okazja, by potraktować je twórczo. Propozycję dla wszystkich przedstawię za tydzień.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Czy Adam się zmieni?

Z Adamem chodzę 4 miesiące. Jest to bardzo dziwny chłopak. Gdy znajduje się w towarzystwie swoich kolegów udaje, że mnie nie zna. Adam ma już 17 lat i chyba nie powinien wstydzić się tego, że ma dziewczynę.

Nieraz marzę sobie skrycie o chłopcu, który by mnie kochał, szanował, któremu mogłabym się zwierzyć z moich kłopotów. A może Adam się zmieni? Ciekawa jestem czy dużo dziewcząt ma takie problemy jak ja?

Marita

Same łzy nic nie pomogą

Myślę, że moi rówieśnicy zbyt często skarżą się na swój los i rozczulają nad sobą na tym niebieskim skrawku papieru. Robią to ufając, że ktoś ich pocieszy, załatwi za nich ich problemy. A przecież nie są to żadne wielkie tragedie, tylko normalne życiowe sprawy i kłopoty, z którymi wszyscy na co dzień się spotykają.

Janusz

Mam prawo do swoich sekretów

Mam 16 lat, nie jestem więc jeszcze osobą dorosłą, ale wyrosłam już z wieku dziecięcego i chyba mogę mieć własne sprawy czy tajemnice, o których niekoniecznie muszą wiedzieć moi rodzice. Niestety oni mają całkiem inny pogląd na te sprawy. Myślą, że jestem nadal małą dziewczynką i nie mam prawa mieć przed nimi żadnych sekretów. Owszem, zgadzam się z tym, że rodzice są naszymi najbliższymi przyjaciółmi i do nich powinniśmy się zwracać ze swoimi sprawami, ale niestety są sprawy, o których rodzice nie muszą wiedzieć. Kiedyś wchodząc do pokoju zastałam tatę grzebiącego w mojej torebce. Innym razem zastałam mamę czytającą mój pamiętnik. Powiedzcie sami – czy tak się postępuje?!

Gośka

Dostałam ponad 1000 listów!

Na mój list z 7 nr RP „Piszę po raz dwunasty" odpowiedziało ponad 1000 osób z całej Polski! Przykro mi bardzo, ale na wszystkie listy nie dam rady odpisać. Dlatego tą drogą chciałam bardzo podziękować wszystkim tym, którzy do mnie napisali, a nie otrzymali odpowiedzi.

Marta Skiba

Jest ode mnie niższy

Niedawno poznałam chłopca, który naprawdę mi się podoba. Rozumiemy się, dobrze nam ze sobą. Jedyną jego wadą jest to, że jest ode mnie młodszy i niższy, co nie podoba się moim koleżankom. Obmawiają mnie przy każdej sposobności i robią złośliwe uwagi. Co mam robić, jak się zachowywać wobec koleżanek?

Zmartwiona Edyta

OD REDAKCJI: Jeśli Twój chłopak jest sympatyczny, dobrze się czujesz w jego towarzystwie to zupełnie nie powinnaś przejmować się opinią koleżanek. Na docinki nie reaguj, a po pewnym czasie dziewczynom się znudzi. Nie zamartwiaj się Edyto, tylko dobieraj sobie kolegów i znajomych według własnego gustu, a nie gustu koleżanek. (mi)

Najważniejszy-święty spokój?

Człowiek pracujący w fabrycznej hali pełnej hałasu i bezustannego napięcia marzy o ciszy i spokoju. Czasem tak bardzo, że to marzenie nie daje mu spać, nie opuszcza ani na chwilę. Ten człowiek dostaje urlop – wyjeżdża nad kompletnie puste jezioro. Po dwóch tygodniach cisza wydaje mu się zmorą, doskwiera samotność, męczy pragnienie towarzystwa. Ulubione wędkowanie jest jakby mniej ważne niż przedtem, a gdzieś po głowie kołacze się myśl: mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia w domu, tyle zaległych spotkań...

Czy oznacza to, że spokój i cisza przestały być ważne w ogóle? Ależ skąd, spróbowalibyście przerwać mu urlop, albo zainstalować w pobliżu biwaku głośniki nadające nielubianą muzykę! Warunek spokoju i ciszy został spełniony, taków ktoś samodzielnie zdecydował i to się już stało. Pojawiły się teraz następne potrzeby, pewnie będą po jakimś czasie równie palące, co poprzedniczki. Być może wynika z powyższego, że tak zwana pełna szczęśliwość jest w ogóle niemożliwa, bo zawsze pojawi się coś, czego pragnęlibyśmy jeszcze. Na pewno zaś wynika z tego, że na drodze do realizacji marzeń ważne są na równi wszystkie przystanki i żadnego ominąć się nie da.

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy pojęcie spokoju nabrało tylu odcieni, że trudno by to było przedtem samemu wymyślić. A też i ci, którzy o nim mówili, czy wręcz do niego namawiali, traktowani byli nieco podejrzliwie. Ot, tacy to wygładzacze rzeczywistości: w ludziach coś kipi, rwie się do działania, a oni namawiają do spokoju. Co bardziej krewcy polemiści twierdzili wręcz, że spokój jest rodzajem narkotyku, usypia, czyni ludzi bezradnymi i wystraszonymi. Na drugim biegunie z kolei pojawiała się opinia, że bez spokoju żyć się po prostu nie da. Obydwie teorie miały swoich trubadurów i zwolenników, przy czym widoczni byli ci działający, a więc na przykład biegający po ulicach w nerwowej gorączce. Przeciętny człowiek zastanawiał się: jak to właściwie jest i kto ma do końca rację? Czy najważniejszy jest jakiś stan ducha za wszelką cenę, a jeśli tak, to który?

Teorie psychologiczne, które pierwsze jasno postawiły problem następstwa ludzkich potrzeb, gdzie zaspokojenie jednych „powoduje pragnienie zaspokojenia następnych, podzieliły je wszystkie na dwa podstawowe bloki. Spokój, poczucie bezpieczeństwa zaliczono do tak zwanych potrzeb podstawowych, równie pierwotnych jak głód czy pragnienie. Bez ich zaspokojenia niemożliwy staje się pełen rozwój ludzkich możliwości myśli, uzdolnień. (Nader łatwo to sprawdzić próbując rozwiązywania zadań matematycznych bez obiadu, w pomieszczeniu pełnym ruchu i hałasu.) Nieprawdą jest zatem twierdzenie, że spokój usypia i obezwładnia – to czyni raczej bezmyślność, choćby wyrażała się w nerwowej krzątaninie. Z drugiej strony bez spokoju i na głodniaka żyć wbrew pozorom można, tyle że niezbyt długo i wcale nie tak barwnie, jak to sobie niektórzy wyobrażają.

Pytanie nadęte, a jednak z sensem: o co ludziom w ogóle w życiu chodzi? Tak z grubsza biorąc o szkolne lub zawodowe sukcesy, o dobrą rodzinę, o własne miejsce wśród innych, o to żeby innym pokazać, na co naprawdę nas stać. I to wszystko są potrzeby tego drugiego, wyższego bloku. W tych działaniach dokonuje się nasza ludzka samorealizacja. Czy wyjdzie coś dobrze, czy trochę gorzej, marzenia spełnią się w całości, czy tylko w części – wszystko zależy od tego, czy zaspokoiliśmy potrzeby podstawowe. Bo jeśli nie... Bo jeśli nie, to wmówimy otoczeniu i sobie samym, że biegamy za najładniejszą dziewczyną w okolicy z potrzeby serca, a nie – jak to będzie w istocie - na złość zazdrosnym kolegom. I to będzie chora sytuacja.

Subtelne niebezpieczeństwo powyższego rozumowania polega na tym, że jeśli nie można samorealizować się bez pokonania pierwszego etapu rozwoju, to również nie należy rezygnować z prób samorealizacji poprzestając na zaspokojeniu głodu.

Innymi słowy człowiek, który wprost z fabrycznej hali wyjechał nad bezludne jezioro po to, aby tam się nudzić uczynił rzecz głęboko słuszną. Bez tej nudy nie byłoby pragnienia towarzystkich kontaktów. Towarzyskie kontakty bez poprzedzającego je wypoczynku w ogóle nie miałyby sensu. Tak to jest.

MAREK ZARĘBSKI

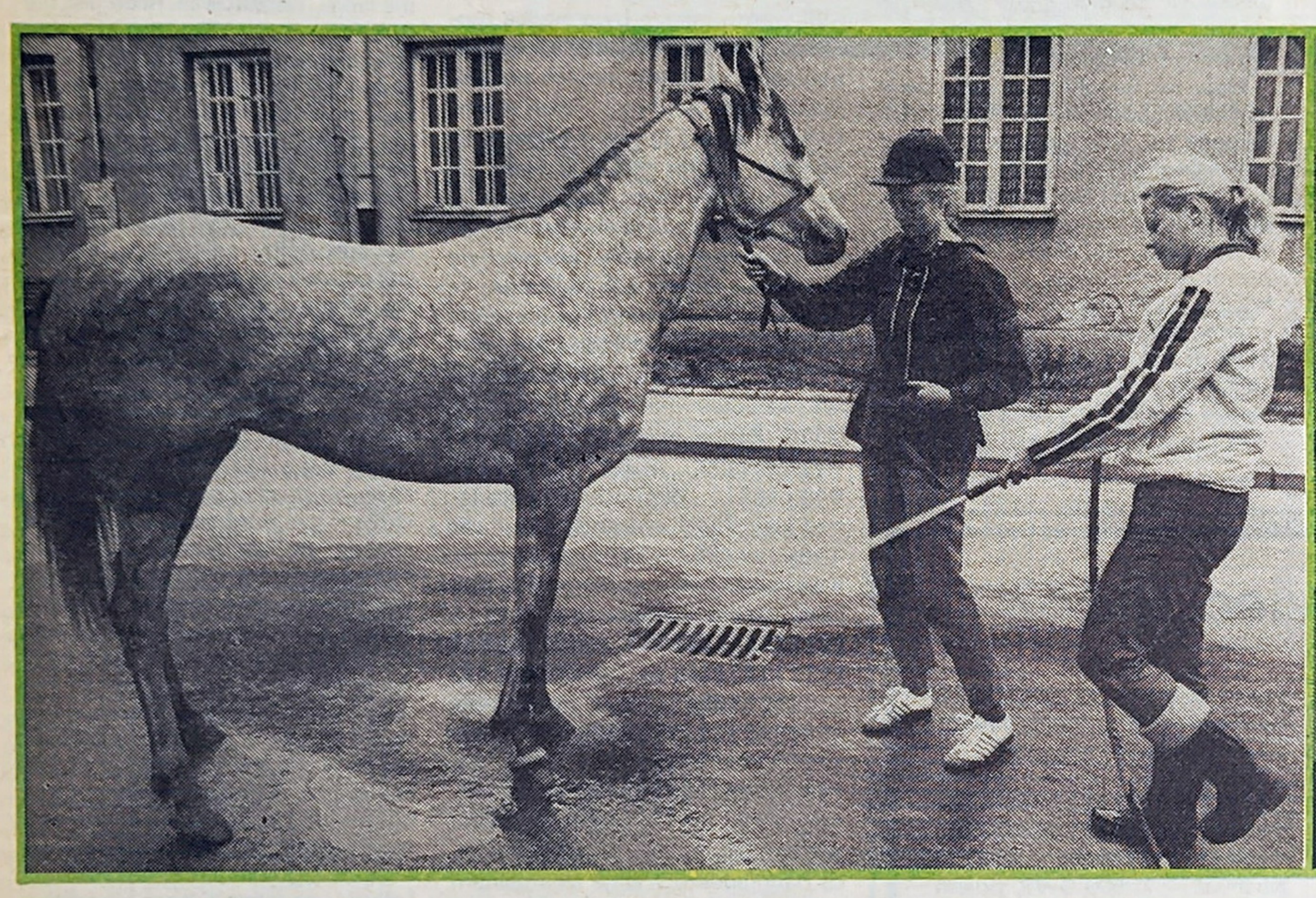

DRUŻYNA, NA KOŃ!

CIĄD DALSZY ZE STR. 1

Praca w stajniach zaczyna się o 6,00. Żeby więc zdążyć na czas, trzeba wstać o 5,00 i pędzić na Służewiec. Codzienny trening konia rozpoczyna się od chodzenia w „maszynie", która obracając się dookoła osi, umożliwia koniom rozgrzewkę bez jeźdźca. Następnym etapem treningu jest bieg „na kole".

Grażyna i Agnieszka szybko i sprawnie siodłają swoje rumaki, zręcznie ich dosiadają i wyruszają ze stajni. „Na kole" w zasadzie jeździ się tylko stępa. Na galop, nawet lekki, jest trochę za mało miejsca. Rozpędzony koń mógłby nieopatrznie wpaść w krzaki i zranić siebie i jeźdźca. Na tor treningowy pani Dorota puszcza na razie tylko Jarka, który jeździ najlepiej.

Po treningu następuje mycie koni. Strumieniem wody opłukuje się im zapiaszczone nogi i brzuchy. Dopiero teraz, po biegu, można konia poczęstować cukrem. Podobno, jeśli zrobi się to przed treningiem, koń od razu wyczuwa, że ma do czynienia z amatorem i może sobie pofiglować niebezpiecznie. Ale, co najdziwniejsze, nie każdy koń lubi cukier. Ulubieniec Jarka – Harpagon jest ponoć „cukrowym abstynentem". Przepada natomiast za garścią soczystej trawy.

To zupełnie normalne, że nawet doświadczony jeździec spada z konia. Ale pierwszy upadek jest najważniejszy, decydujący, ponieważ przeżywa się po nim rodzaj lekkiego szoku, który może zniechęcić do konia na zawsze. Jeśli się tego nie przezwycięży, sukces w jeździe konnej jest przekreślony. Jarek na przykład po pierwszym upadku nie pokazywał się na Służewcu przez ponad 2 tygodnie. Po prostu przestraszył się. Na szczęście jednak przełamał w sobie lęk i teraz jeździ już coraz lepiej. Te pierwsze i często bolesne upadki oraz codzienne wstawanie o świcie odstraszyły kilku harcerzy. Pozostali ci, dla których koń jest najwspanialszym zwierzęciem na świecie. Dla Jarka nie ma piękniejszego widoku niż galopujący na koniu jeździec.

– Dla ciebie tak, ale spójrz na to z perspektywy konia – spiera się z nim Agnieszka.

Agnieszka kocha konie na swój własny sposób. Chciałaby żeby wszystkie były na wolności, bez wodzy i wędzideł. A najbardziej irytuje ją to, że stali pracownicy „Wyścigów" obchodzą się z końmi rutyniarsko, bez sentymentów.

92 WDH – „drużyna na koniach" kończy już swoją pracę na Służewcu. Jest sobota, przed wyścigami. Pracy więc było sporo: generalne porządki w stajni, przygotowanie koni do popołudniowych biegów, czyszczenie końskiego rynsztunku. Jutro o 6,00 harcerze zjawią się tu znowu, z garścią cukru dla swoich ulubieńców.

JOLANTA ZDANOWSKA

Fot. **J. Łopuszyński**

Złoty Bengal

Na ulicach Dhaki

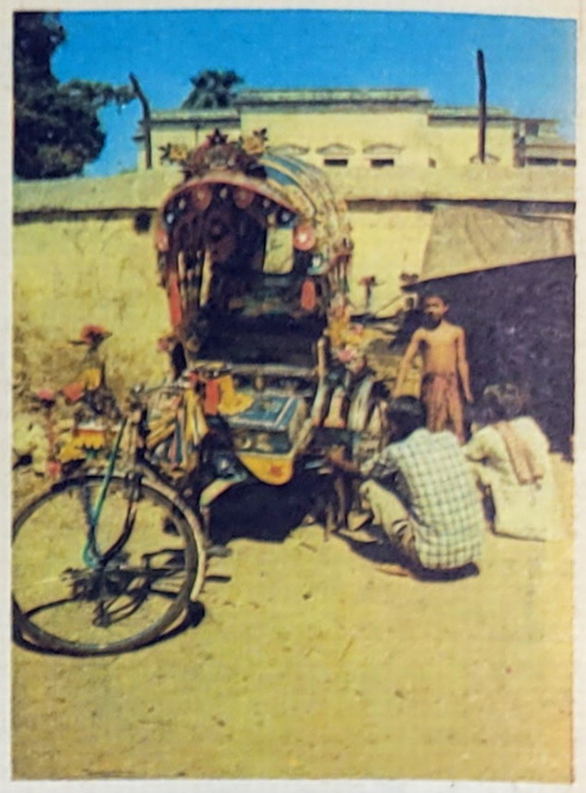

Riksze wyglądają z daleka jak porzucone dekoracje ▶ teatralne

Wielokrotnie na ulicach miast i miasteczek Bangladeszu zatrzymywali mnie nieznajomi tylko po to, aby zapytać, jak mi się podoba ich ojczyzna. Najczęściej zresztą było to raczej stwierdzenie z delikatnie zaznaczonym znakiem zapytania. Po prostu podchodzili i pytali: *Bangladesh good?, Bangladesh beautiful?* – i usłyszawszy, że „tak", że „bardzo" – ruszali w swoją stronę uśmiechnięci i zadowoleni. Jadąc na północ do herbacianych ogrodów Sylhetu czekałem na prom jednej z przepraw rzecznych. Sprzedawca w ubożuchnym przydrożnym sklepiku, widząc, że mam aparat fotograficzny, wskazał na drzewo kapokowe, obsypane szychem czerwonych bukiecików. – Trzeba zrobić zdjęcie – rzekł. – Pokaże pan u siebie w domu, jak wspaniale kwitną nasze drzewa. – Banglijczycy darzą wielką sympatią turystów, zwłaszcza tych młodych, w zniszczonych, przepoconych dżinsach, zgiętych pod plecakami, z postrzępionymi mapami w kieszeniach, którzy stoją cierpliwie w słońcu czekając na prom czy rozklekotany autobus, popychani pragnieniem oglądania miejsc o nazwach przemilczanych przez większość atlasów i encyklopedii. We wspomnianym miasteczku Sylhet poznałem kilku starszych panów, z którymi wieczorami rozmawiałem o dawnych i obecnych sprawach Bangladeszu. Ucieszyli się, kiedy musiałem zostać dzień dłużej, ponieważ zabrakło miejsc w samolociku do Dhaki. Chciali, żebym jak najwięcej dowiedział się o Bangladeszu i powtarzał to potem każdemu, kto będzie chciał słuchać. Tak właśnie powiedzieli.

Kiedy indziej, gdy z pokładu statku płynącego rozlewiskami delty Gangesu patrzyłem na niskie brzegi obramowane żółtymi zagonami dojrzałego ryżu – ktoś za mną odezwał się: *Sonar Bangla*. Złoty Bengal! Te dwa słowa wymawiane są w Bangladeszu z dumą i czcią niemal modlitewną. *Mój Złoty Bengalu, kocham cię*. Tak Rahindranath Tagore zaczął swój tkliwy wiersz, który stał się w wiele lat później hymnem narodowym. Ale dzisiaj Bengal jest znacznie mniej złoty niż kiedyś. Jest także mniej zielony, gdyż lasy giną szybko. Ziemia jest potrzebna pod pola uprawne. W rzeczywistości kraina ta ma najczęściej kolor szary. Szary jak gliniane opłotki wiosek. Jak grudy wyschniętej ziemi i kurz polnych dróg. Jak wody wzburzonych rzek i monsunowe niebo. Ale dla Banglijczyków ich ojczyzna jest złota. Jak kłosy ryżu i włókno juty. Jak wiosenny gaj mangowy. Złota jak słońce, które rozświetla wszystko ogromnym blaskiem.

Mają też Banglijczycy swój kwiat narodowy, podobnie jak Holendrzy – tulipana czy Japończycy wiśnię. Jest nim wszechobecna szapla – lilia wodna, przypominająca nieco lotos. Jej białe kielichy unoszą się na stawach, sadzawkach, kanałach, w wodzie przydrożnych rowów. Szypułki i gąbczaste listki ogonków są jadalne i nieraz pomagały wieśniakom przetrwać do zbiorów ryżu. Nabrała symbolicznego znaczenia, ponieważ wyobraża powszechny związek z wodą i wsią, w kraju, gdzie woda i wieś są wszędzie. Szapli wystawiono w stolicy pomnik-fontannę. Stoi na jednym z placów jak betonowa metafora wspólnego losu obywateli republiki, która ma tylko 10 lat, a dramatami tego czasu mogłaby obdzielić kilka dekad.

Sama Dhaka dopiero od niedawna zaczęła przybierać wygląd, który nie pozwala już mówić o niej, jak o wielkiej wiosce. Kiedyś, w początkach XVII wieku, miasto było stolicą prowincji potężnej dynastii Mogołów, panującej w całych Indiach północnych. Miało wtedy aż milion mieszkańców, a obszar nawet większy niż obecnie. Kwitło dzięki umiejętnościom kupców oraz rzemieślników, którzy wytwarzali na eksport rozmaite zabytkowe artykuły. Słynne były muśliny z Dhaki, tak delikatne, że nazywano je „tkanym powietrzem". Brytyjska królowa Wiktoria uszyła sobie suknię ślubną z takiego muślinu. Ale wówczas – po podboju angielskim – Bengal podupadł, zachłannie wyzyskiwany przez urzędników Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Ludność Dhaki skurczyła się do 50 tysięcy w 1867 r. W chwili podziału Indii liczyła ćwierć miliona mieszkańców i tkwiła zastygnięta w sennym bezruchu. Jedna z najbogatszych krain Indii stała się synonimem najgorszej nędzy, z której do dziś nie może się wyswobodzić. „W epoce kolonialnej Dhaka była pasierbicą Kalkuty, za Pakistańczyków ważniejszy od niej był Czittagong ze swym portem. Dopiero teraz – gdy jest stolicą Bangladeszu – staje się miastem rzeczywiście nowoczesnym" – powiadają dziś Banglijczycy.

Nowoczesność ta może się komuś wydać odrobinę dyskusyjna, zwłaszcza jeśli używać miar europejskich. Dwumilionowa już Dhaka ma wprawdzie trochę wysokich budynków, luksusowy hotel *Intercontinental*, jarzeniowe światła, asfaltowe jezdnie, przestrzenne arterie komunikacyjne i oczywiście okazały meczet wzorowany na kształcie mekkańskiej Kaaby. Wszystko to jednak nie zdołało zatrzeć klimatu pewnego prowincjonalizmu. Brak wyraźnie zarysowanego śródmieścia, właściwie kilka miejsc spełnia tę funkcję. Często odnosiłem wrażenie, że jestem albo ciągle w centrum, albo ciągle na peryferiach. Miłośnik zabytków niewiele będzie miał w Dhace do oglądania. Rozpadający się fort, ruiny karawenseraju (zajazdu dla podróżnych), kilka starych meczetów, jeden czy drugi grobowiec – cienka jest ta patyna wieków. Ale ciekawe są stare dzielnice nad rzeką Buringanga. Po dniu błądzenia w korytarzach uliczek łatwo się tam zapomina, że istnieje jakiś inny świat, gnający ku nie wiadomo czemu, pełen spraw do załatwienia i niemądrego pośpiechu.

Podobały mi się rowerowe riksze Dhaki. Kolorowe jak puszki landrynek, z pękami sztucznych róż przy kierownicy. Na ściankach namalowane są skrzydlate konie, króliki o rozmiarach lwów, pawie, gołębie, jadowite kobry, tygrysy bengalskie, zwykle w sytuacjach bohaterskich, jak np. walka ze słoniem, czy strącanie łapą... odrzutowca. Riksz jest bardzo dużo, chyba kilkadziesiąt tysięcy i zawsze są w zasięgu wzroku. Krążą wolno, jak ruchome obrazy, albo czekają gromadkami na rondach w cieniu drzew. Wyglądają z daleka jak porzucone dekoracje teatralne. Jeśli chcemy zrobić dłuższy kurs, trzeba zmienić riksze, gdyż jeden kierowca nie sprostałby odległości. Najczęściej pojazdy nie są własnością rikszarzy. Wynajmują je za opłatą, która zwykle pochłania dwie trzecie dziennego utargu. Także koszty napraw ponosi rikszarz, toteż w razie poważniejszego wypadku porzuca on rikszę i ucieka, bo nie miałby z czego pokryć straty. Bez trudu da się zauważyć, że rikszarze są na ogół pogodni i uśmiechnięci, co przybyszom z Zachodu wydaje się absolutnie bez sensu. Tymczasem ów uśmiech przy pustym żołądku, w strapieniu, w skrajnej niedoli – jest czymś, co wydaje piękne świadectwo godności tych ludzi. Życie rikszarza jest krótkie. W tym fachu po trzydziestce można by iść na rentę, gdyby istniało coś takiego, jak renty dla rikszarzy. Aby móc pracować przez 8 godzin, rikszarz potrzebuje około 4 tysięcy kalorii. Jednakże rzadko może on najeść się do syta, z reguły jego dieta nie zawiera 2 tys. kalorii i organizm zużywa się szybko, jak nie konserwowana maszyneria. Wiedzą o tym rikszarze miejscy, zawodowcy. Ci jeżdżą statecznie, ekonomicznie, włączając jakby psychiczny mechanizm obronny, oszczędzając siły. Ograniczając liczbę kursów z lęku przed wyczerpaniem. Rikszarze napływowi – przeważnie młodsi mężczyźni ze wsi – szafują siłami, chcą w jak najkrótszym czasie zarobić jak najwięcej, co na ogół kończy się fatalnie.

Nie zmniejsza to rikszarskiej rzeszy, gdyż na każde zwalniające się siodełko czeka kilku, jeśli nie kilkunastu, chętnych. Co dzień przybywają do stolicy bezrobotni z przeludnionych wsi. Zresztą, czymże jest Bangladesz, jeśli nie jedną wielką wsią? Jest to właściwie największa wieś świata. Nie w liczbach bezwzględnych wprawdzie, lecz procentowo. Ponad 90 proc. mieszkańców żyje w wioskach, których jest prawie 72 tysiące i gdyby ktoś chciał odwiedzać tylko dwie dziennie – zajęłoby mu to prawie sto lat.

JERZY CHOCIŁOWSKI
Fot. **autora**

m/s „KONIN" drobnicowiec B-442

2 marca 1968 r. położono stępkę pod pierwszy z dziewięciu budowanych dla Polski i Turcji – drobnicowców o symbolu B-442. Jedną z ładowni B-442 wyposażono w cztery komory chłodzone o pojemności 300 m³ każda. Umożliwiło to przewożenie towarów w temperaturze nawet – 20 stopni. Urządzenia chłodnicze były całkowicie zautomatyzowane, łącznie z automatyczną regulacją temperatur, wilgotności, wymiany powietrza itp. Nowy drobnicowiec przystosowano również do transportu ładunków ciężkich np. rudy. Dzięki zainstalowaniu specjalnych urządzeń w ładowniach, można w nich całkowicie wymienić powietrze z częstotliwością 10 razy w ciągu godziny. Projekt statku został opracowany przez zespół specjalistów pod kierownictwem głównego konstruktora mgr. inż. Zenobiusza Oleszki. Jednostce w dniu wodowania – 29 czerwca 1968 r. nadano imię „Konin". Do eksploatacji oddano ją 31 grudnia 1968 r. Pozostałe jednostki zbudowane dla Polskich Linii Oceanicznych nosiły imiona: „Lucjan Szenwald", „Władysław Orkan", „Świecie", „Ursus".

Długość całkowita m/s „Konin" wynosi – 153,90 m, szerokość – 20,60 m, zanurzenie – 8,98 m. Nośność – 12 500 DWT, pojemność – 12,800 BRT. Moc silnika głównego – 9600, prędkość 18,1 węzła. Załoga liczy 44 osoby. Zasięg pływania – 14 000 mil morskich. **(wm)**

Fot. **Marek Szymański**

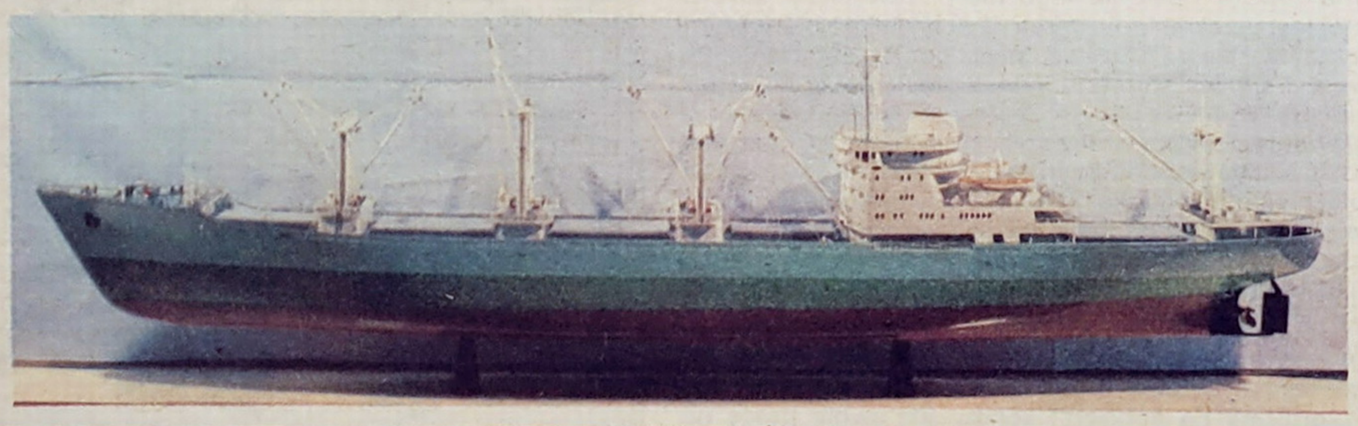

KUPON KONKURSOWY WYTNIJ ZACHOWAJ 27

OD „SOŁDKA" DO „DARU MŁODZIEŻY"

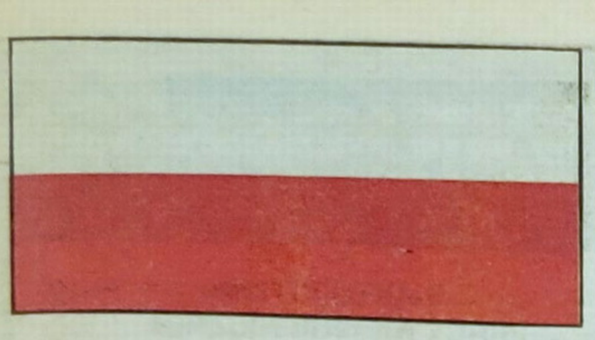

POLSKI JARMARK W KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

Krzysiek ze swoimi trofeami z Kanagawy

Kiedy Krzysiek Faruga miał cztery lata, matka, widząc, że lubi rysować, zapisała go do pracowni sztuk plastycznych w katowickim Pałacu Młodzieży. Tak zaczął się jedenastoletni okres „pałacowy", kiedy to Krzysiek, pod okiem artysty plastyka pana Henryka Dzięcioła dwa razy w tygodniu przez dwie godziny oddawał się swemu ulubionemu zajęciu. Początkowo głównym tematem jego prac były zwierzęta, szczególnie te egzotyczne, z dalekich krajów, które z zachwytem obserwował podczas częstych wypraw do ZOO ze starszym bratem.

Krzysiek teraz nie pamięta, kiedy pan Dzięcioł wysłał po raz pierwszy jego rysunek na konkurs międzynarodowy, o krajowych już nie wspominając. W każdym razie nie chodził jeszcze do szkoły, gdy w 1972 roku zdobył swój pierwszy medal w NRD. Potem posypały się kolejne wyróżnienia, nagrody, wśród nich choćby srebrny puchar i srebrna patera zdobyte w Indiach, a ozdabiające dziś gabloty Krzyśkowego regału. W rysunkach Krzyśka zaczęła przeważać tematyka folklorystyczna, na wystawy jeździły odtąd bajecznie kolorowe obrazki ukazujące polskie obyczaje ludowe, takie jak Barbórka czy Śmigus-Dyngus.

W ósmej klasie namalował wiejski jarmark, jeden z takich, jakie dawniej bywały – z kolorowymi straganami, tłumem ludzi w barwnych ludowych strojach, prosiakami i końmi na sprzedaż, wałęsającymi się ciekawskimi kundlami. Obraz trochę zapamiętany przez samego autora, trochę wyczarowany przez jego wyobraźnię. Pojechał ten polski jarmark do dalekiej Japonii, na pierwszy międzynarodowy konkurs rysunków dziecięcych w Kanagawie i... zdobył grand prix.

– Po odbiór nagrody, złotego medalu i statuetki, zaproszono mnie do Japonii. Pojechałem wraz z panem Dzięciołem – opowiada Krzysztof. – Dziesięć dni spędzonych w tym kraju to była jedna wielka przygoda. Trochę mieszkałem w hotelu, a trochę w prywatnym mieszkaniu pewnej rodziny w Jokohamie. Żeby lepiej, jak gdyby „od kuchni" poznać panujące tam zwyczaje. A kuchnia rzeczywiście była oryginalna. Szczególnie podobało mi się przygotowywanie gorących dań w trakcie posiłku, już na stole, na takim specjalnym gorącym podgrzewaczu. Mieliśmy trochę spotkań oficjalnych: z gubernatorem Kanagawy, z władzami miasta Jokohamy, było spotkanie z japońskimi dziećmi w jednej z tamtejszych szkół. Zwiedzaliśmy też miasto takimi specjalnymi autkami. Jokohama łączy się z Tokio jak gdyby w jeden wielki zespół miejski, przez który można iść i jechać bez końca. No więc jechałem sobie piętrową autostradą i oglądałem z góry stare dzielnice z malutkimi domkami i nowe dzielnice imponujące swoją nowoczesnością – mnóstwo mostów, wspaniałe samochody, mrowie ludzi.

Mój szczególny szacunek wzbudziła wielka zapobiegliwość Japończyków, doskonała organizacja. Każdy nasz dzień do godziny siedemnastej gospodarze zaplanowali co do minuty już chyba na pół roku przed naszym przyjazdem, więc nie zdarzył się ani jeden „niewypał", ani jedno potknięcie. Codziennie zaś po osiemnastej miałem czas dla siebie, mogłem łazić gdzie chciałem i zachwycać się miastem, w którym życie nie zamiera ani wieczorem, ani nocą. Miałem wtedy okazję przekonać się, że Japończyków cechuje wielka uprzejmość i uczynność. Kiedyś, kiedy zapuściłem się daleko od hotelu, a zaczął lać deszcz, podszedł do mnie zupełnie nieznajomy człowiek i z własnej inicjatywy podprowadził mnie pod swoim parasolem do samego hotelu. Czy można się dziwić, że tak mi ten naród przypadł do gustu?

Krzysiek zarzeka się, że nie tyle ważne jest dla niego uczestnictwo w konkursach, ile samo malowanie. Ale jakże warto jest brać w konkursach udział, skoro pozwala to człowiekowi na sprawdzenie się, a przy okazji może przytrafić się coś tak genialnego jak ta jego wizyta w kraju kwitnącej wiśni. Ukoronowała ona całą jego dotychczasową pracę, zbiegła się akurat z ukończeniem szkoły podstawowej.

W tej chwili Krzysztof Faruga nie chodzi już do Pałacu, jest uczniem pierwszej klasy Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach. Bardzo starał się tam dostać i dlatego, żeby nie zaprzepaścić wszystkich „pałacowych" lat, i dlatego, że jest przekonany, iż – w odróżnieniu od jego różnych przelotnych zainteresowań, jak granie w piłkę, hodowanie rybek, czy zaczytywanie się wszystkim, co dotyczy science fiction – malowanie nie znudzi mu się nigdy. Marzy o namalowaniu obrazu 5×2 metry, natury, ale nie martwej, może lasu, żywego i, wbrew pozorom, pełnego ruchu. I jest przekonany, że dopiero teraz zaczęła się dla niego prawdziwa nauka rysowania, która może potrwać nawet i przez całe życie.

EWA KOSIŃSKA

I TY RÓWNIEŻ MOŻESZ ZOSTAĆ LAUREATEM!

Przypominamy, że każdy, kto lubi malować, rysować, wycinać, a nie ukończył 15 lat, ma jeszcze szansę uczestnictwa w Międzynarodowym Konkursie-Wystawie Rysunku Dziecięcego, organizowanym przez prefekturę Kanagawa w Japonii.

Warunki uczestnictwa podaliśmy szczegółowo w **nr 28 „ŚM" z 29 IV 1982 r.**

Prace nadsyłajcie do **30 lipca 1982** roku pod adresem:

Drużyna ONZ
02-495 Warszawa 122
ul. Konińska 2
Życzymy powodzenia!

XXIII Olimpiada Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym

COŚ SIĘ ZMIENIŁO...

Kilka ładnych lat temu pojawiał się w klasie nauczyciel, kazał wydobywać karteczki i odpowiadać na pytania. Ta „mikrokartkówka" przyjmowana była różnie: obojętnie, z uśmiechem, z drwinami. Ale pisało się – choćby zupełne głupstwa. W pytaniach roiło się od różnych liczb i danych statystycznych, zwłaszcza takich, co to miały wskazywać na dynamikę wzrostu. No i liczyła się masowość, skoro do pierwszego, a właściwie zerowego etapu olimpiady przystępował każdy uczeń – poza tymi, którzy się stosownego dnia akurat przeziębili czy stłukli kolano. Ci, co pisali, nieraz robili sobie z tego kpiny – i tyle... Zaś w zawodach wyższego stopnia obowiązywały zmagania zespołowe. Czyli – niby to umacniał się front ideowości młodzieży, ale przy tym zapominano, że ten czy ów czyta, słucha radia, odbierając to, co doń dociera – nierzadko krytycznie. Nie miało to jednak po prostu znaczenia. Olimpiada działała jako jedno z kółeczek propagandy obracających się w tę samą stronę, budząc jednak w szkołach coraz większe niezadowolenie. Tak było do jesieni 1980 roku.

Obecnie do olimpiady przystępuje ten, kto chce. Dlaczego chce – to już inna sprawa. Uczestnicy z liceów, o ile zostaną finalistami, mogą bez egzaminu wstępnego dostać się na takie, zwykle oblężone kierunki studiów, jak historia, prawo, socjologia, nauki polityczne. W tym roku ministerstwo gwarantowało dziesięć miejsc. Bój był więc ostry, a emocje wskazywały, że uczestnikom zależało na indeksach...

No, ale w olimpiadzie startują też uczniowie zawodówek. Im nie daje to tych wszystkich przywilejów – bo i jak? Chcąc myśleć o studiach, lub tylko o piątce na maturze, muszą najpierw pójść choćby do technikum. A jednak startują. Dla licealistów i uczniów z zawodówek są na olimpiadzie w związku z tym dwa odrębne tzw. piony. Przypatrywaliśmy się finałowym bojom olimpijczyków z ZSZ, trzeba przyznać, że emocje były spore. Oto np. Jarek Świerczewski z Zespołu Szkół Energetycznych w Łodzi, zostawiwszy podczas ustnych finałów wszystkich rywali w tyle... zrezygnował z odpowiadania na ostatnią serię pytań – chociaż była to już czysta formalność. Doszły bowiem do głosu emocje, zawodziły nerwy. Namówiony przez jurorów, jednak odpowiadał, ale z nie najlepszym skutkiem. Później powiedział mi, że wszystkie olimpijskie pytania były łatwe i na prawie wszystkie był w stanie odpowiedzieć, tylko że w paru przypadkach napięcie psychiczne nie pozwoliło mu na to. Ale i tak jest zadowolony....

Jarek mówił mi, dlaczego zdecydował się startować. Interesuje się wydarzeniami światowymi, sporo czyta, słucha i ogląda – więc dlaczego nie próbować się sprawdzić? Podczas przygotowań za mało przydatne uznał takie źródła, jak tygodniki – choćby „Politykę" – wolał wybrać „Encyklopedię Spraw Międzynarodowych i ONZ" Edmunda Osmańczyka czy „XXX lat PRL" Wł. Góry, bo te pozycje dostarczały po prostu szczegółowej wiedzy. Nadal będzie interesował się tymi sprawami, może znów wystartuje, ale – mówi – nie wpłynie to na jego życiowe plany i wybór zawodu elektromechanika. Zamierza pójść do technikum.

Pani Jadwiga Walkiewicz, nauczycielka historii w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Białogardzie, przygotowująca uczestników olimpiady, przyznaje, że się zmieniło. Dawniej – królująca w pytaniach statystyka wspierająca propagandę sukcesu stwarzała pewną łatwiznę. Gdy jednak idzie o sprawę przygotowań, to pani Walkiewicz mówi, że zawsze miała tu swoje zasady. Już w pierwszej licealnej szukała zainteresowanych historią i polityką światową. Tworzyła pięcio-, sześcioosobowe grupy. Dyskutowali, padały drażliwe pytania. Spotkania odbywały się dwa razy w tygodniu – dla niej była to zresztą społeczna robota. Dyskusja podparta wiedzą, zdaniem p. Walkiewicz, bardzo się w takich przygotowaniach liczy. Po pewnym czasie ma się na wiele spraw trzeźwe spojrzenie. I może dlatego przygotowywani przez nią olimpijczycy w ocenie wydarzeń ostatnich dwu gorących lat nie kierowali się emocjami. Byli z nich – słyszę – „zdecydowani racjonaliści". W krzyżowym ogniu informacji płynących z różnych źródeł – czy to z gazety, czy bibuły – nie tracili głowy.

O tegorocznych olimpijczykach mówiło się tutaj – hobbiści. Wszyscy też zgodnie podkreślali, że liczyła się wiedza. Fakt, że była ona różna – często także przyjmowana bezkrytycznie, ulepiona z formułek. Jej sprawdzanie było mozolne i podczas finałów przeciągało się. Organizatorzy zarezerwowali dla zawodników na wieczór spektakl „Cesarza" Ryszarda Kapuścińskiego, ale niewielu, w związku z przedłużoną finałową „nasiadówką", zdążyło skorzystać.

W sumie – mówiono – mamy chyba jeszcze jedną olimpiadę przedmiotową. Zaczyna tu być tak, jak w wielu innych olimpiadach.

Żeby tylko dawne przyzwyczajenia nie ożyły...

TOMASZ KŁOSOWSKI

GWIAZDOZBIÓR

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK I FRANCUSKA AKTORKA BRIGITTE FOSSEY ZA ROLE W FILMIE WĘGIERSKIEGO REŻYSERA KAROLY MAKKA PT. „INNE SPOJRZENIE", OTRZYMAŁY NAJWYŻSZĄ NAGRODĘ I TYTUŁ NAJLEPSZYCH AKTOREK TEGOROCZNEGO FESTIWALU FILMOWEGO W CANNES

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK wielki sukces w Cannes

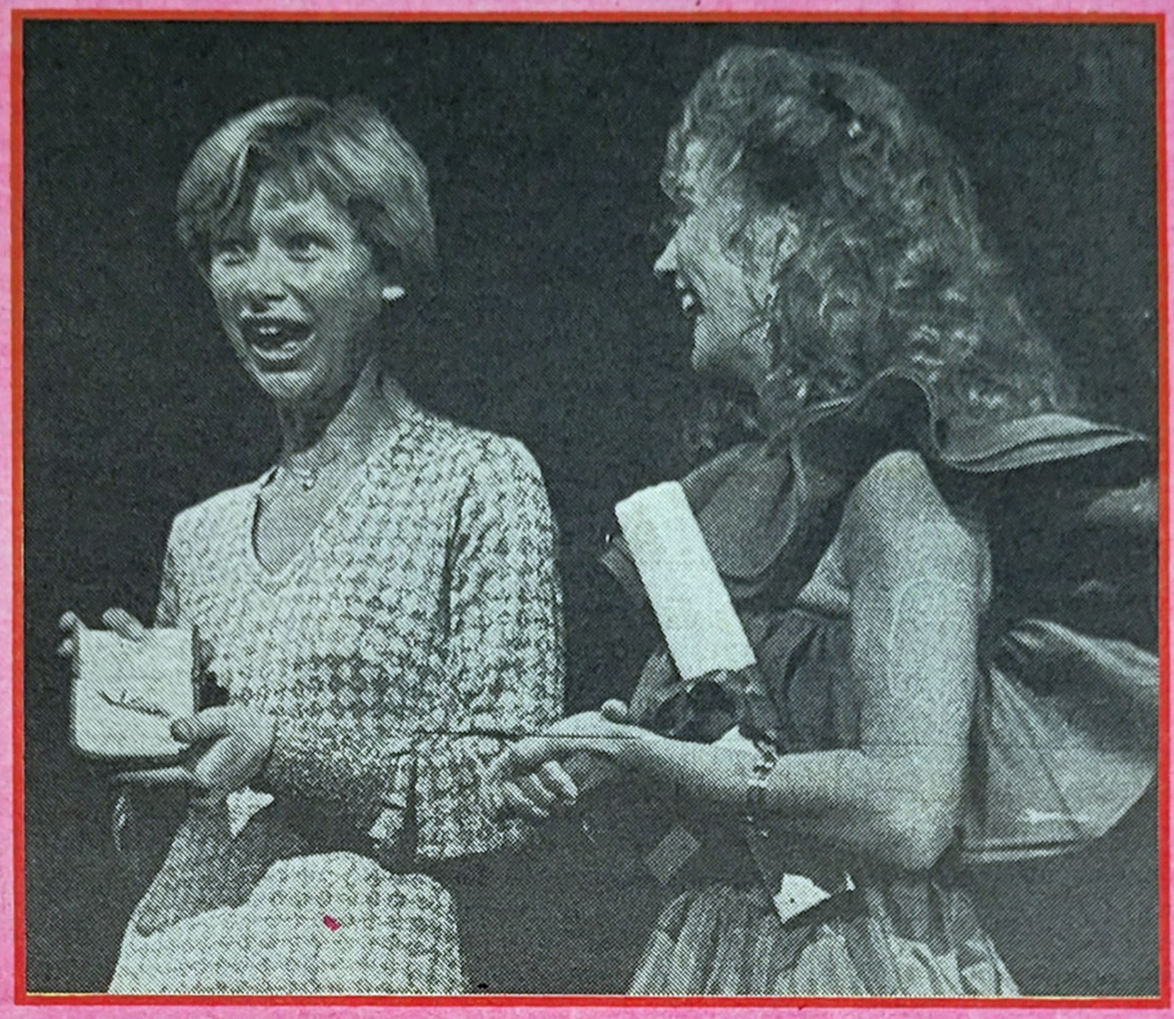

Czytelnik pilnie śledzący wszelkie wydarzenia zachodzące w naszym życiu kulturalnym, na brak silnych wrażeń nie może ostatnio narzekać. Ledwie bowiem zdołał jako tako ochłonąć z wrażenia na wieść o wielkim zagranicznym sukcesie jaki odniósł na Broadway'u krakowski teatr Tadeusza Kantora „Cricot 2" spektaklem „Wielopole, Wielopole", a już nadeszła kolejna sensacyjna wiadomość – tym razem z Cannes. Na zakończonym niedawno festiwalu filmowym, tradycyjnie uznanym za najważniejszy w świecie, wśród grona uhonorowanych zaszczytnym i najwyższym odznaczeniem przeglądu – Złotą Palmą – znalazła się polska aktorka młodego pokolenia Jadwiga Jankowska-Cieślak. Jej rola w węgierskim filmie w reż. Karoly Makka pt. „Inne spojrzenie" uznana została przez międzynarodowe jury za najlepszą rolę kobiecą, zaś Jankowska-Cieślak tym samym – najlepszą aktorką tegorocznego przeglądu...

Triumf to niebywały zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę, że ona sama ostatnimi czasy dosyć rzadko pokazywała się publicznie: w teatrze, w filmie czy na telewizyjnym ekranie. Może to efekt naturalnego pauzowania po kilku latach intensywnych występów, może wynik zmieniającej się mody i zapotrzebowania na określony typ aktorstwa, a może po prostu brak propozycji interesujących, wartościowych ról...

Jeszcze jako studentka warszawskiej PWST zagrała główną rolę w filmie Janusza Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość". Film, przyjęty przez publiczność i krytyków życzliwie, przyniósł jej nagrodę „Złotego Grona" na festiwalu filmowym w Łagowie oraz nagrodę im. Z. Cybulskiego, przyznawaną przez redakcję tygodnika „Ekran" za najwybitniejszą kreację filmową stworzoną przez młodego aktora. Zaś o roli Magdy odtwarzanej z „urokiem i ciepłem, z nieświadomą powagą dziewczyny, która wkracza w świat ludzi samodzielnych" pisano, że pasowała niczym suknia szyta na jej miarę. Stworzyła w niej typ dziewczyny lat siedemdziesiątych, uwikłanej w zwyczajne życie i kłopoty: w domu, w pracy, z chłopcem...

Po dyplomie i pierwszym niemałym sukcesie pełna zapału i energii wyjeżdża ze stolicy i rozpoczyna pracę w eksperymentalnym Puławskim Studio Teatralnym. Szybko jednak dochodzi do przekonania, że to nie to czego szuka. Więc wraca do Warszawy, by trafić do zespołu Teatru Dramatycznego. Występuje z powodzeniem w „Elektrze" Giradoux i „Ślubie" Gombrowicza, choć jak twierdzi – zbyt rzadko, ba wręcz narzeka, że dyrektor Holoubek dosłownie ją ukrywa. Więc znów decyzja zmiany – tym razem na jeden sezon do Narodowego, do Hanuszkiewicza. Tam, w „Mężu i żonie" Fredry ta na wskroś współczesna i nowoczesna pół dziewczyna, pół chłopak, gra najwspanialszą, prawdziwą hrabinę!

A w tzw. międzyczasie, w 1974 r. otrzymuje nagrodę rektora PWST – Tadeusza Łomnickiego, przyznawaną wyróżniającym się absolwentom szkoły po dwóch latach samodzielności scenicznej. Kręci też kolejne filmy: „Pani Bovary – to ja" Z. Kamińskiego i „Sam na sam" A. Kostenki. Zdaniem krytyka K.T. Teoplitza, Jankowska-Cieślak, aktorka niezmiernie utalentowana – doskonale spełnia we współczesnym powszednim mieszczańskim filmie postulat niepokoju. *„Filmowi polskiemu, nawet temu, który w zamierzeniach swoich chce być banalny, uładzony i przykładny, potrzebny jest choćby dla uspokojenia własnego sumienia, pierwiastek niewiadomego, to znaczy potrzebna jest bohaterka taka, jak Jankowska właśnie. Która jest młodzieżowa, samodzielna, nieoczekiwana w swoich reakcjach, zastanawiająca w swojej psychice".*

Pracuje również dla teatru telewizji. Z powodzeniem, z wielkim darem uwierzytelniania granych postaci i jednoczesnym zachowaniem dystansu wobec postaci kreowanej. Wspaniała w „Księżycowych nagietkach" u boku Ryszardy Hanin...

Z rozmów przeprowadzanych z aktorką w latach wyraźnej aktywności zawodowej i artystycznych sukcesów, w początkach lat siedemdziesiątych, a także później – w chwilach wyraźnego wyciszenia i zastoju (koniec minionej dekady), wyłania się postać wielce interesująca. Typ dziewczyny bardzo codziennej, współczesnej, o „amatorskiej" urodzie i absolutnym zaprzeczeniu postaci gwiazdy. O spojrzeniu na sztukę i zawód aktora piekielnie jak na swoje zawodowe doświadczenia rzeczowym i dojrzałym.

O AKTORSTWIE, PRACY NIEHIGIENICZNEJ...

– (...) Naprawdę męczy mnie tylko bezczynność. W cztery lata po dyplomie aktor powinien już się przynajmniej w przybliżeniu orientować w swoich możliwościach i wiedzieć czy potrafi w te klocki grać. (...) Po „Elektrze" (w reżyserii K. Dejmka, główna rola, prawdziwy debiut teatralny), *dobrze o mnie pisano, a wcale nie byłam z siebie zadowolona. Moja Elektra była żadna. Podobała się, bo byłam młoda, nie kulawa, udawałam, że coś przeżywam. (...) Dotychczas moim największym przeżyciem aktorskim była „Matka" Witkacego.* (przedstawienie dyplomowe PWST).

O GWIAZDACH:

– (...) U nas łatwiej zostać gwiazdą sportu niż teatru. A poza tym trzeba jeszcze umieć być gwiazdą. Gdy tymczasem dla mnie jest już męką wyjść na estradę i odebrać jakąś nagrodę, czy też w ogóle pokazywać się publicznie.

Z wywiadu w „Kierunkach", luty 80 r.

O REŻYSERACH:

– (...) Wolę mieć do czynienia z ludźmi którym mogę ufać, którzy są w pełni odpowiedzialni za całość przedstawienia i za mnie także.

O PRZYSZŁOŚCI:

– (...) Nie mam już żadnych złudzeń co do mojego zawodu. Przestałam się już wściekać, że są takie, a nie inne układy, że coś się dzieje, a coś nie. Wydaje mi się, że to nie ma sensu, że mam jeszcze bardzo dużo czasu. Nie przejmuję się tym, że wiek stuka swoje na liczniku. Wydaje mi się, że mimo wszystko nic nie tracę, że jednak coś swojego gdzieś tam w kąciku tkam i to mi kiedyś będzie procentowało.

O AMBICJACH:

– (...) Ambicje mam ogromne, potworne. Ale poczekam z nimi.

O ZADOWOLENIU:

– (...) Ja mam olbrzymie własne satysfakcje! Choćby z tego, że postępuję według jakiś tam swoich reguł i nie zdarzyło mi się jeszcze do tej pory, żebym tak naprawdę sprzeniewierzyła się samej sobie.

O MARZENIACH:

– (...) Bardzo bym chciała kiedyś zrobić coś wielkiego, ale ciągle czuję, że jeszcze nie pora, że jeszcze mam czas. To znaczy, musi się znaleźć reżyser, który będzie miał jakąś rewelacyjną propozycję i wymyśli sobie, że właśnie nie kogo innego, a mnie potrzebuje. A to wszystko musi się jeszcze w dodatku zdarzyć w momencie, kiedy będę dobrze usposobiona do tej roboty. Ale wydaje mi się, że jeszcze nie przyszedł czas na to, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. Być może, że taki moment nadejdzie, ale czy na pewno? Prawdopodobnie nie, bo takie marzenia zazwyczaj się nie ziszczają." **(tem)**

Z wywiadów w „Polityce", lipiec 76 r. Fot. **CAF**

DOM MODY świata młodych

Sukienki na wielki upał

Nie wiem, jaka będzie pogoda, gdy będziecie to czytały, ale w dniu, kiedy te słowa piszę (jest 4 czerwca) upał jest iście tropikalny. No, a przecież lato dopiero się zaczyna... Więc warto być na takie temperatury odzieżowo przygotowaną. Skłonił mnie do tego wniosku widok wielu dziewczyn, które paradowały dziś po Warszawie w ciuchach zupełnie do takiej temperatury nieprzystosowanych. Męczyły się biedaczki ogromnie! I choć ciuchy, które miały na sobie były skądinąd ładne, modne, efektowne, to ich widok nie budził zazdrości.

Bo co tu dużo mówić, gdy jest 30 stopniu w cieniu, człowiek przestaje myśleć o modzie, a marzy o ochłodzie. A przynajmniej o założeniu na siebie czegoś takiego, co najmniej będzie parzyło. Oczywiście, nie istnieją ciuchy chłodzące, ale można postarać się o coś, co minimalnie w czasie takiego upału dokucza. Myślę, że (poza kostiumem kąpielowym, ale nie wszędzie można w nim paradować) nie ma w takiej sytuacji nic lepszego niż luźna sukienka na ramiączkach. Taka, co to nigdzie nie ciśnie, nie pije, ciała dotyka na jak najmniejszej powierzchni. O, jakaś taka, jak te na zdjęciach.

Najprostsza do własnoręcznego uszycia jest ta w kwiatki. Do wąskiego paska materiału z jednej strony przymarszczona jest sukienka właściwa (może to być całkiem prosty kawałek materiału, mogą być cztery zeszyte ze sobą kliny – wtedy będzie zgrabniejsza nieco) a z drugiej – wąziutkie ramiączka. Te tutaj są u góry zawiązywane. Jest to robota dosłownie na jeden wieczór, a umiejętności krawieckie też nie są właściwie potrzebne żadne. Nic tu nie trzeba dopasowywać, byle pasek, na którym się sukienka trzyma nie był ani za szeroki ani za wąski, ale to już można na sobie zmierzyć. Materiału też na tę sukienkę trzeba niewiele – 2 metry kretonu tzw. pojedynczej szerokości wystarczą.

Oczywiście trzeba ten kreton w tym celu mieć. Ale jeśli go nie ma (ani żadnej niepotrzebnej już w domu zasłonki w kwiatki czy groszki, którą ewentualnie można by w charakterze surowca na taką sukienkę zużyć), to też nie wszystko stracone. Będzie to oczywiście bardziej pracochłonne, ale można taką sukienkę uszyć sobie z kilku różnych materiałów (resztki pozostałe po innych sukienkach sprzed lat, albo 2-3 stare już i wyrośnięte sukienki) łącząc ze sobą kilka różnych poprzecznych pasów. Jedna z sukienek na zdjęciach jest właśnie w takie pasy. Ta akurat uszyta jest z pasów jednokolorowych, ale mogą być połączone i różne wzorzyste też. Efekt może być naprawdę interesujący!

RIUSZKA

NAŚLADOWNICTWO WSKAZANE!

Kto następny?

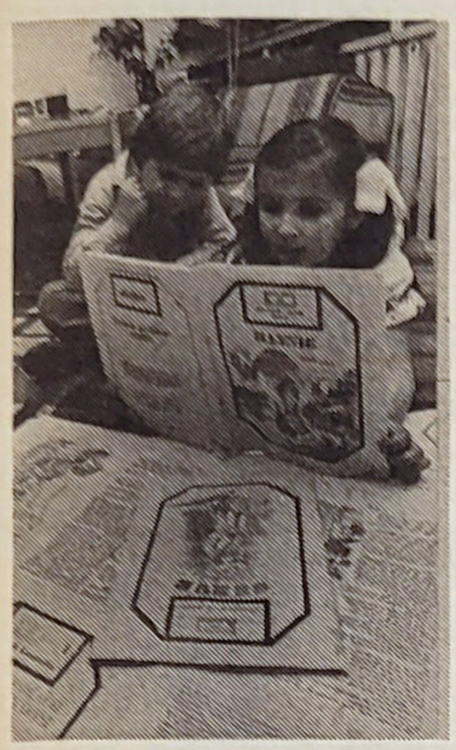

To nieprawda, że w ogóle nie wydaje się dobrych książek dla dzieci. Wydaje się, tylko, że apetyty wygłodniałych czytelników są straszliwe. Dlatego z zadowoleniem należy powitać każdą inicjatywę, która nakarmi spragnionych. Podjęta w ubiegłym roku w Szczecinie akcja książki za makulaturę, przynosi widoczne efekty ku radości młodych czytelników i ich rodziców. Do tej pory wydrukowano trzy pozycje w nakładzie od 40-60 tys. egzemplarzy każda. Są to książki, które przeszły próbę czasu i prawie każdy dorosły pamięta je z własnego dzieciństwa: „O krasnoludkach i sierotce Marysi" M. Konopnickiej, „Baśnie" braci Grimm oraz „Serce" E. Amicisa.

W czerwcu br. ma być gotowa „Awantura o Basię" K. Makuszyńskiego, zaś w następnej kolejności – „Pszczółka Maja". Przyjęto zasadę, że talon na określoną pozycję otrzymuje ten, kto dostarczy 4 kg makulatury. książki, choć wydawane na gazetowym i pakowym (białym) papierze, cieszą się szalonym zainteresowaniem. Inicjatorami tej pożytecznej akcji, wartej szerokiego upowszechnienia są: Szczecińskie Towarzystwo Kultury, Szczecińskie Zakłady Papiernicze „Skolwin", Szczecińskie Zakłady Graficzne, Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" oraz redakcja „Kuriera Szczecińskiego" i Krajowej Agencji Wydawniczej w Szczecinie.

Popieramy! Upowszechniamy! **(tem)**

Fot. **CAF**

Bardzo ciekawy projekt badania „chmurnej" planety, czyli Wenus wysunęli uczeni radzieccy. Chodzi o wprowadzenie do niezwykle gęstej atmosfery tej planety aerostatu, czyli zdalnie sterowanego balonu. Aparat taki miałby tę przewagę nad obecnie stosowanymi sondami, że mógłby przebywać w atmosferze Wenus przez długi czas. Urządzenia pomiarowe zainstalowane w gondoli aerostatu prowadziłyby badania ciągłe a ich wyniki przekazywałyby na Ziemię za pomocą przekaźnika umieszczonego na satelicie okrążającym Wenus.

Stały korespondent TOMIKA, podpisujący się pseudonimem ORION, sięgnął dziś do historii podboju kosmosu. Przypomina pierwsze amerykańskie próby z rakietami. Jakże daleko odbiegła technika rakietowa od tamtych prób...

PREZES

JAK TO BYŁO NA POCZĄTKU?

W swoim liście chciałbym opisać ciekawe eksperymenty przeprowadzane przez USA w początkowej fazie podboju kosmosu.

Pierwszy eksperyment dotyczył startu rakiety z... balonu. Chodziło oczywiście o zmniejszenie zużycia paliwa na pokonywanie oporu dolnych warstw atmosfery. Przez środek balonu (pionowo) przebiegał kanał, którym startowała rakieta unoszona na platformie zawieszonej pod balonem. Startów dokonywano z atolu ENIWETOK na Oceanie Spokojnym w ramach projektu FAR-SIDE. Rakiety posiadały 4 stopnie, na które składały się rakiety typu RECRUIT i ARROW II. W głowicy czwartego stopnia (rakieta Arrow II) znajdowało się 1,6 kg przyrządów naukowych, które dokonywały pomiarów natężenia promieniowania kosmicznego i pola magnetycznego Ziemi.

Balony wynosiły rakiety na wysokość 20 – 30 km. Przebieg startu był następujący: 1-szy stopień działał tylko przez 1,5 sekundy rozpędzając rakietę do prędkości 1,5 km/sek. 2-gi stopień działający również przez 1,5 sek. podwajał tę prędkość. 3-ci stopień zwiększał prędkość do 5, a 4-ty do 7,4 km/sek. Prędkość ta była osiągana na wysokości 120 km. Jednakże rozpędzony 4-ty stopień osiągał wysokość ok. 6400 km, po czym spadał i spalał się w atmosferze. Łącznie wykonano 6 prób, lecz udała się tylko piąta (20.10.57) i szósta, podczas których ostatni człon osiągał wysokość prawdopodobnie właśnie ok. 6400 km. Określenie „prawdopodobnie" wynika stąd, że wysokość oceniana była na podstawie optycznych obserwacji, gdyż zawodziły urządzenia telemetryczne. Konstrukcja balonu wykonana była z polietylenu, wypełniona była helem – cały balon miał masę ok. 675 kg.

Innym ciekawym doświadczeniem była wykonana 16.XI.57 r. udana próba wystrzelenia sztucznych meteorów (podobne próby przeprowadzone w 1947 r. za pomocą rakiet V-2 były nieudane). Sztuczne meteory były aluminiowymi kulkami o masie kilku gramów, umieszczonymi wraz z ładunkiem wybuchowym w głowicy rakiety AEROBEE wystrzelonej z poligonu New Mexico na wysokość ok. 88 km. Wybuch rozrzucił kulki z prędkością do 15 km/sek. czyli większą od II-giej prędkości kosmicznej. Na podstawie zdjęć stwierdzono, że co najmniej 2 kulki otrzymały odpowiednią prędkość i kierunek, aby uciec w kosmos. Wybuch widoczny był z odległości 1000 km jako jasna gwiazda, a jeden z meteorów miał jasność planety Wenus. Eksperyment ten miał być między innymi wykorzystany do określenia warunków wchodzenia w atmosferę pocisków balistycznych oraz do badania górnych warstw atmosfery.

ORION

BALONEM NA WENUS

Do Merkurego, Wenus, Marsa, a ostatnio Jowisza i Saturna dotarły wysłane z Ziemi sondy międzyplanetarne. Najwięcej uwagi poświęcono dotychczas planecie Wenus. Oprócz kilku sond amerykańskich badało ją także 12 radzieckich stacji „Wenera". Dziewięć z nich krążyło na orbicie wokół planety, osiem opuściło pojemniki z aparaturą na jej powierzchnię zaś sześć z nich miękko wylądowało. Wenus, zwana „chmurną planetą", ma bardzo gęstą atmosferę. Utrudnia to badania powierzchni planety. Dotychczas wszelkie techniki fotograficzne okazały się bezużyteczne. Powierzchnię Wenus badano głównie metodami radiolokacyjnymi.

Kilka lat temu uczeni radzieccy wysunęli interesujący projekt badania Wenus za pomocą aerostatu, czyli zdalnie sterowanego balonu. Balon wyposażony w aparaturę naukową mógłby przebywać stale w atmosferze planety i obserwować zachodzące w niej zjawiska. Satelity, lądowniki czy sondy rakietowe zbyt szybko przelatują przez atmosferę, aby przeprowadzić wszechstronne badania. Balon umożliwi zbadanie nie tylko całego profilu atmosfery wenusjańskiej ale także śledzenie występujących w niej ruchów i prądów.

Temperatura na powierzchni Wenus wynosi około 500 st., a atmosfera jest gęstsza niż na ziemi. Do wznoszenia balonu w tych warunkach można wykorzystać nietypowe gazy – zwykłą parę wodną oraz pary amoniaku i spirytusu metylowego. Pod wpływem wysokich temperatur, woda i amoniak przejdą w stan pary i balon uniesie się w górę. Aparat będzie wznosił się tak długo, aż dojdzie do warstw o niższej temperaturze. Ochłodzenie spowoduje kondensację pary i jej skraplanie – w efekcie balon zacznie opadać. Ten ruch w górę i w dół może trwać w nieskończoność. Jak się oblicza, balon wypełniony parą wodną poleci na wysokość 39 km, spirytusem metylowym – 45 km, zaś amoniakiem – na 100 km. Wydaje się, że najlepsza będzie mieszanka tych trzech substancji, która zapewni balonowi duże zdolności manewrowe. Wenusjański balon może być zaopatrzony w generator ze śmigłem. Podczas spadania następowałby ruch pionowego śmigła i w ten sposób można by ładować baterie. Balon można wyposażyć także w nornalny silnik śmigłowy przystosowany do pracy w wenusjańskiej atmosferze, który pozwoliłby na przemieszczanie całego aparatu. Szybkość opadania balonu szacuje się na około 30-40 km/godz., zaś ruch wznoszący byłby nieco wolniejszy.

Konstruktorzy wskazują, że szczególnie korzystne byłoby połączenie sondy atmosferycznej, umieszczonej na balonie z krążącym po orbicie okołoplanetarnej przekaźnikiem zapewniającym łączność z balonem, odbierającym z niego dane i w razie potrzeby korygującym jego ruchy.

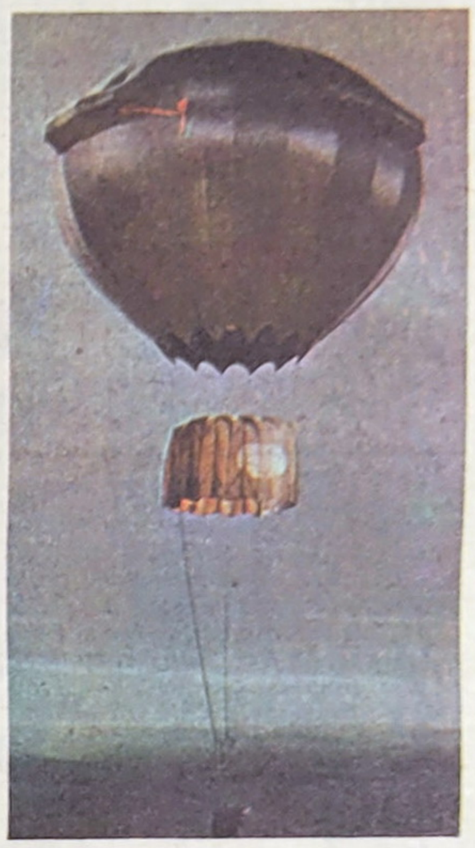

Jeden z projektów aerostatu przeznaczonego do badań atmosfery Wenus

SATELITA „BUŁGARIA 1300"

Od sierpnia 1981 r. krąży w kosmosie satelita „Interkosmos 22 – Bułgaria 1300" nazwany tak dla uczczenia 1300-letniej rocznicy państwa bułgarskiego. Głównym celem doświadczeń prowadzonych za pomocą tego satelity są badania procesów fizycznych w jonosferze i magnetosferze Ziemi, dla lepszego poznania związków zachodzących pomiędzy Słońcem a Ziemią. Na satelicie zainstalowano radziecką i bułgarską aparaturę naukową. Uczeni obu krajów przygotowali także kilka programów badawczych obejmujących badania wpływu Słońca na procesy geofizyczne i biosferę Ziemi.

Satelita „Bułgaria 1300" został wyposażony w zestaw urządzeń do rejestrowania elektronów i jonów w przestrzeni okołoziemskiej, dla określenia ich koncentracji i temperatury. Aparatura naukowa dokonuje także klasyfikacji cząstek według wielkości energii i ich masy, umożliwia również śledzenie zjawisk związanych z powstawaniem plazmy. Na satelicie znalazł się też przyrząd do badania pól elektrostatycznych, a także optyczny, wielokanałowy elektrofotometr do badania promieniowania świetlnego jonosfery. Ultrafioletowy fotometr „Foton" pozwala na badanie zjawisk świetlnych w atmosferze Ziemi.

Satelita został wyposażony w specjalny odbłyśnik laserowy pozwalający naziemnym stacjom astronomicznym na okresowe dokonywanie pomiaru elementów jego oribty. Takie pomiary wykonywane są m.in. w Polsce w obserwatorium w Borowcu. Wykorzystywane są one do badań geofizycznych i geodezyjnych. Radziecko-bułgarski sputnik krąży na orbicie, której apogeum wynosi 906 km, a perigeum – 825 km. Już pierwsze wyniki obserwacji okazały się bardzo owocne, satelita pracuje bowiem w okresie podwyższonej aktywności słonecznej.

Miał oczy jak cykorie przy wypalonym domu w Podgórzu, takie jasne, niebieskie. Chciała mu to powiedzieć, ale nie będzie chłopakom prawić komplementów.

Odezwała się więc tylko:

– Można człowiekowi ufać, gdy ma takie oczy.

– Znaczy, jakie?

– Łagodne i trochę wesołe. Dobre.

– Eh, żebyś wiedziała! – wyraźnie się zawahał. Widocznie też powstrzymał jakieś słowa.

I dobrze – pomyślała.

Stali teraz w przedsionku kina. Schowali się przed deszczem. Miała mokre włosy i poznał, że płukała rumiankiem.

Poczuła się jak w Podgórzu w jesiennym czasie ptaków. A jej lot miałby teraz konkretny cel. Wystarczyło wyciągnąć ramiona.

Powiedziałaby mu to słowo najważniejsze w świecie, ale nie potrafiła. Dotknęła koniuszkami jego ramion i schyliła głowę.

Umówili się w parku na wieczór. Przy sobocie można było sobie pozwolić na te dwa spotkania, przypadkowe i zaplanowane.

Przyszła wcześniej, niż się umówili.

Lubiła poczekać, popatrzeć, jak idzie do niej w pośpiechu.

I zobaczyła go z Dorotą.

Taki był, tacy są – załamała się. Wszystkie sądy Neli zmówiły się przeciw niemu.

Stał z Dorotą w bramie i wcale się nie spieszył.

Dobrze, że spotkała Baśkę, która była raz wesoła, a raz smutna i teraz zebrało jej się na melancholię. Siedziały razem na ławce. Odpowiadał Zuzce taki nastrój i w ogóle obecność drugiego człowieka. Gorzej by wyglądała, gdyby sama czekała na Witka, który nie czekał, a właściwie doczekał się innej.

Chciała odejść, już wstała z ławki, ale nie była zdecydowana. Do spotkania brakowało pięciu minut.

– Umówiłaś się? – zapytała Baśka.

– Przypuśćmy. Ale posiedzę... Nie odchodź!

– Co z tobą?

– Niech stoi do jutra z tą głupią Dorotą!

Wtedy Baśka idąc za wzrokiem Zuzanny odwróciła głowę. Usiadła znowu obok na ławce.

– Nie znasz Doroty? Pewnie go zatrzymała.

– Albo on ją!

– Trzeba znać dziewczyny.

– Chłopcy nie lepsi.

– Ja bym tego nie powiedziała – Baśka się zastanowiła.

Próbowała nakłonić Zuzkę do innej oceny i zająć ją na tyle, by nie spoglądała w stronę bramy.

Mrok otulił trawniki i zmącił zarysy krzewów. Zachmurzyło się i księżyc to rozświetlał, to gasił aleje.

W tym zmieniającym się tle połyskiwały oczy Zuzanny.

– Nie chcę go widzieć!

– Ludzie patrzą – przypomniała Baśka.

– Niech patrzą!

– Cicho, jaka ty jesteś... Dopiero zaczyna się życie. Jeszcze się właściwie nie zaczęło.

A co było dotąd?! Co było?

– Zaledwie poranek – powiedziała Baśka zamyślona. Widać było, że pisała wiersze.

Zuzka też zamieszczała swoje utwory w gazetce uczniowskiej i miały wspólne zainteresowania. Ale teraz potrzebowała konkretnej pomocy.

– Mów zwyczajnie – powiedziała z niecierpliwością.

– W porządku. Wytrzyj nos, Witek idzie, pożegnał się z Dorotą.

– Nie patrzę.

– Schowaj chustkę, prędko.

Spojrzała. Był niedaleko i nic się poza tym nie liczyło. Wstała z ławki. Szła może nawet szybciej od niego na to nowe spotkanie.

Musiała sobie nakazać krok wolniejszy i elegantszy. Na pewno stawała się dorosła, jeśli potrafiła to zrobić.

KONIEC

W wydaniu książkowym powieść ukaże się nakładem „Naszej Księgarni".

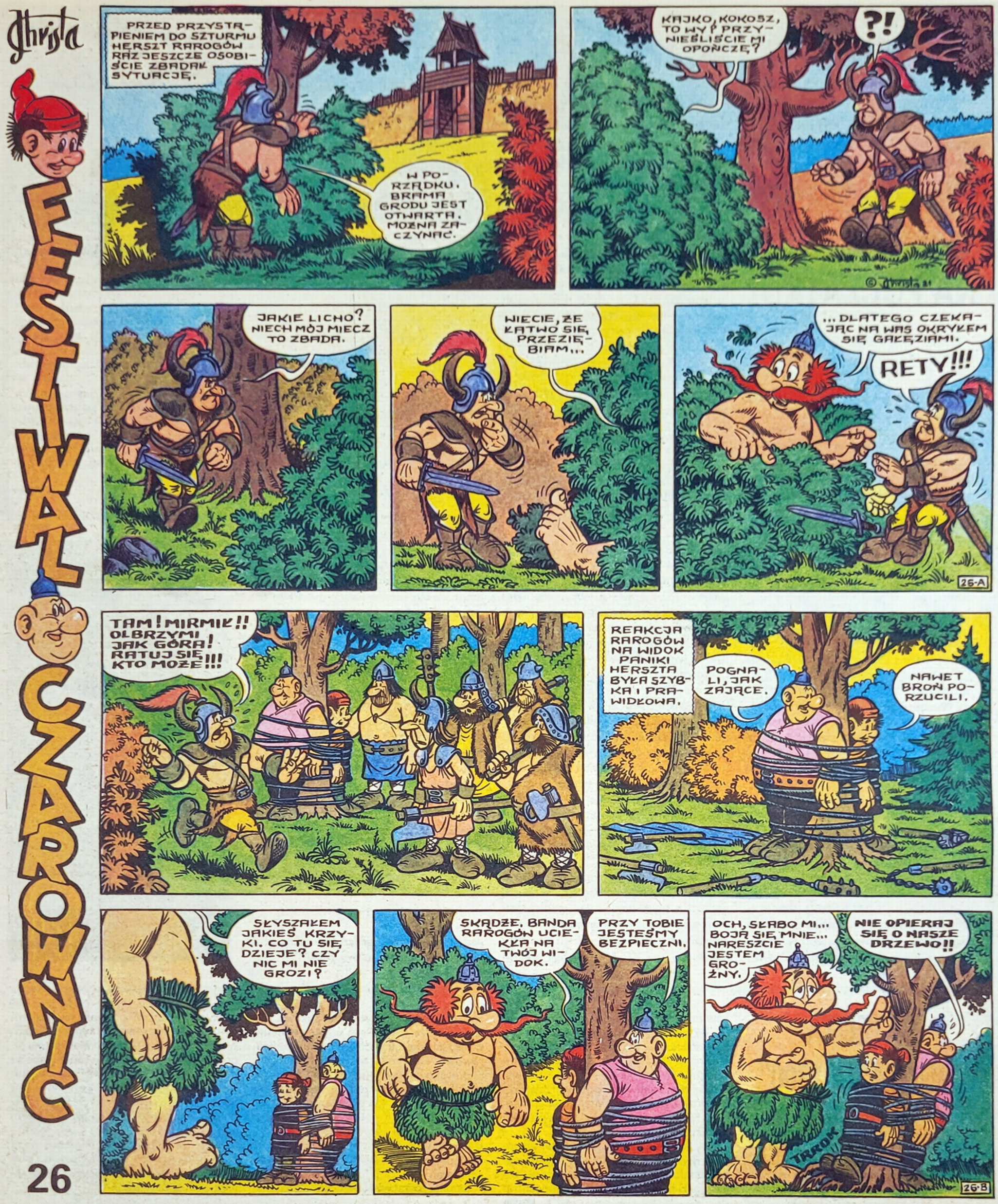

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko
Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska
Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 2608/G Z-59

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– PAWEŁKU, JAKIE włosy ma Twój tata?

– Mój tata ma już tylko głowę...

– CZY WIESZ, że co piąty mieszkaniec naszego kraju ma ponad 180 cm wzrostu?

– Wiem! I zawsze siada przede mną w kinie!

– PANIE KELNER, czy macie jakieś zimne dania?

– Przeważnie wszystkie...

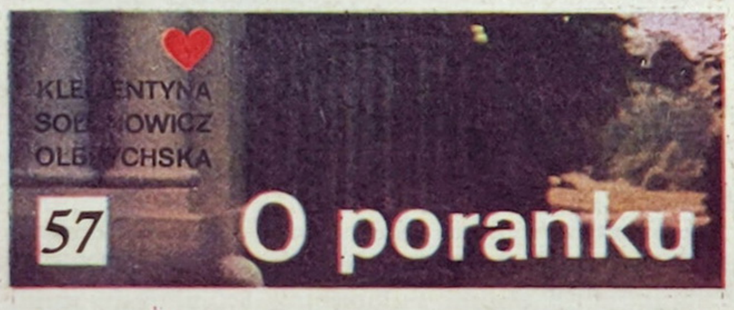

— A Krzysiek to tak się uczy, że pierwszy na całą szkołę.

– Na całą szkołę – powtórzyła Gabrysia.

Zbyt dużo mieli do opowiadania, by mówili o najważniejszym. A i ta krótka rozmowa też się skończyła, bo już robiono zbiórkę i wszyscy spieszyli do pociągu.

W oknie przedziału ukazała się twarz Aliny.

Zuzka krzyknęła:

– Pamiętasz Witka? Czy pa-mię-tasz Witka?

Alina trzymała ręce przy uszach. Pewnie nie usłyszała przyjaciółki, bo nawet głową nie dała znaku na jej wołanie.

– Napiszcie! – przypomniała Gabrysia. Też jej nie usłyszano.

Zakotłowało się pod kołami. Zgrzytało, tłukło się i kłęby pary uderzyły w ludzi stojących na peronie. Jakiś chłopak trzymał kwiaty, które zapomniał podać. Pobiegł za pociągiem i zawrócił.

Dziewczęta odeszły jak inni.

– Takie tam spotkanie – powiedziała Gabrysia.

– Zwyczajnie, na dworcu każdy się spieszy i ma sto spraw na głowie.

– O Podgórzu nic nie wiemy.

– Nic.

– Ale przypomniało się wszystko. Prawda, Zuziu, że się przypomniało? Zjadłabym głogu albo berberysu.

– Że też musisz tyle mówić...

Szły już milcząc po tym krótkim i niezbyt udanym spotkaniu. Gabrysia skierowała się do domu, a Zuzka wstąpiła do sklepu po zeszyty.

Wchodziła już w Starobojarską, gdy usłyszała za sobą Witka.

– Co słychać? – zapytał.

Serce jej zamarło.

Głos miał zwyczajny, jakby nic złego nie było między nimi. Każdego wieczoru od tej pamiętnej zabawy i spaceru po pustych polach odczuwała skruchę.

Nie ukryję jej teraz – pomyślała – Nadeszła okazja. Koniec z udawaniem.

– Byłam straszna, okropna. Tak, nie zaprzeczaj! Na drugi dzień przeszło. A ja – zawahała się – a ciebie nie było.

– Nie było.

– Właśnie...

– Stać cię, mam nadzieję, wziąć siebie w garść – powiedział.

– Mam nadzieję – roześmiała się. Złość się w niej zwinęła w mięciutki gałganek. Nic nie uwierało.

– Ma się zresztą prawo do własnych sądów – dodał życzliwie.

Pewnie krytycznie ocenił zabawę u Neli – pomyślała z ulgą.

– Ale czas już...

– Powiedz.

– Przestać uciekać w czasie rozmowy. Marny zwyczaj. Taka duża...

„I taka głupia" – pomyślała.

– Jak się dogadać – kończył wesoło. – Powie się słowo i nie ma dziewczyny! Jeśli jeszcze kiedy uciekniesz, to koniec z nami.

– Na wieki – dodała, bo miała pewność, że już tego nie zrobi.

Trzymali się za ręce. Nie mówili, nie odczuwali żadnej potrzeby rozmowy, skoro się porozumieli.

Zawrócili w stronę Sienkiewicza, gdzie było jaśniej i weselej. Zatrzymał Zuzkę przy jakiejś wystawie, bo musiał na nią popatrzeć.

Podniosła głowę. Też patrzyła i to uważnie.

Dokończenie na str. 7